ISSN 2544-0012

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 3 (144) LUBIN 2020 r.

Oficer carskiej armii na dziedzińcu zamku świrskiego, spalonego we wrześniu 1914 r. Zdjęcie zapewne wykonano jesienią tego roku lub wiosną następnego. Źródło: www.polona.pl.

Szanowni Krajanie,

Dotychczas powstało wiele opracowań o bestialskich mordach dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w latach 1939-1946. Ale nie istnieją prace naukowe opisujące takie postępowanie członków partii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, partii zbudowanej na nazistowskich wzorach, i bandytów z Ukraińskiej Powstańczej Armii wobec Ukraińców. Jak by nie było, do r. 1945 zamordowani Ukraińcy byli obywatelami RP i takie opracowanie się im należy.

Szczególnie dotyczy to osób narodowości ukraińskiej zamieszkujących do roku 1947 obecne tereny południowo-wschodnie Polski, gdzie bojówkarze UPA wykonywali rozkazy swoich dowódców i bezlitości palili domy Ukraińców, rabowali i mordowali mieszkańców wiosek. Nierzadko osobami zabitymi byli ojcowie i matki ich kolegów z UPA.

Rzeczywistym celem inspirowanego ideologią faszystowską ruchu nacjonalistycznego było utworzenie państwa totalitarnego, monopartyjnego i jednakowo narodowościowo. Państwa o hierarchicznej strukturze społecznej podporządkowanej wodzowi, tak samo jak we włoskim i niemieckim pierwowzorze.

Rozpalanie nienawiści na tle narodowościowym potęgowało występowanie zabójców OUN-UPA w mundurach żołnierzy Wojska Polskiego i rozmawianie w czasie akcji w języku polskim.

Wydaje się, że stosowne opracowanie byłoby kolejnym krokiem do odrzucenia wyimaginowanej teorii OUN o konflikcie narodowościowym w czasie drugiej wojny światowej.

Lubin, kwiecień 2020 r. *Józef Wyspiański*

Spis treści numeru 144

Str.

3. Kartka z pamiętnika. L. Cyganik. Słodkie i kwaśnie odcienie życia (I).
20. Z. Bednarz. Upamiętnienie pomordowanych w Hanaczowie.
24. A. Mucha. O Męczennikach.
27. G. Hawro. Lusina i Ciemierzyńce w 2019 r. Podróż do kolebki naszych rodzin.
30. Propozycje odznaczeń i awansów.
35. Znowu ksiądz katolicki przed sądem za kazanie w kościele.
36. Listy z archiwum redakcji (VIII).
39. Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych" - ze szkoły w Ciemierzyńcach, Czupernosowie i Dunajowie.
41. Pokłosie naszych publikacji (P. Rura, redakcja).

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się tym roku. Dziękujemy Autorowi za zgodę na powielenie jej w naszej gazetce.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. I)

1. Poheblice i Przemyślany

Był rześki poranek, może sierpniowy lub już wrześniowy. Nie pamiętam dokładnie. Mimo to tak wyraźnie rysuje się przed mymi oczami pewien wzruszający obraz. Stoję na progu naszego domu, murowanego z czerwonej cegły. Słońce z dołu podświetla gęste chmury. Po lewej, horyzont ginie za niewielkim pagórkiem, na którym wznosiła się nasza ziemia. Słyszę słodki śpiew mojej mamy, intonującej *Kiedy ranne wstają zorze* Franciszka Karpińskiego. Jak co dzień rano, pędziła krowy na ściernisko. To jedno z pierwszych moich wspomnień z dzieciństwa. Będzie ono ze mną już do końca.

Nazywam się Leopold Cyganik. Choć mogłem nazywać się Cyganiuk. Tak w oryginale brzmiało nazwisko mojego ojca. Ale proboszcz z parafii rzym-

Pohyblice na mapie topograficznej z 1928 r., wydanej przez Wojskowy Instytut Geograficzny.

skokatolickiej, który udzielał mi chrztu, miał w zwyczaju nazwiska spolszczać. I tak zostałem pierwszym Cyganikiem w rodzinie, a rok później moja siostra Werka drugim. Chociaż według mego aktu urodzenia jestem lwowiakiem, tak naprawdę przyszedłem na świat w domu, w przemyślańskich Poheblicach, w 1931 roku. Wówczas było to województwo tarnopolskie.

Gospodarstwo rodziców, położone było na skraju wyłożonego kamieniami traktu wiodącego od Przemyślan do Brzeżan, a dalej do Tarnopola i granicy z Rumunią. Podobno (choć to nie mój osąd) był to jeden z najładniejszych i najbardziej nowoczesnych domów w okolicy. Poza tym w pobliżu też nie było znowu szczególnie wielu sąsiadów, a co za tym idzie posiadłości. Z perspektywy dziecka wydawało mi się, że nasze włości są ogromne. W tej chwili nie wiem nawet, czy mieliśmy osiemnaście hektarów czy morgów [1], choć to spora różnica. Ziemie moich rodziców, położone na subtelnie pofałdowanym terenie, rozciągały się od wspomnianej przeze mnie drogi do rzeki Gniła Lipa, co było dużą zaletą, stanowiły jedną niepodzieloną całość. Dzięki temu posiadłość otwarta była tylko od strony traktu, a z trzech stron zamknięta. Dom zbudowany był z czerwonej cegły i kryty blachą. Na tamte czasu był faktycznie niez-wykle nowoczesny. Pewnie dlatego moi rodzice uchodzili wśród dalszej rodziny za ludzi majętnych.

Tu powinienem pokrótce przedstawić postacie, o których mowa będzie w niniejszej książce. Zacznę od rodziców. O moim ojcu Mikołaju Cyganiku wiem niewiele. Umarł, gdy byłem małym dzieckiem. Pochodzenie taty też nie jest mi dobrze znane. Z jakiegoś powodu rzadko się o tym mówiło w domu, również później, gdy byłem starszy. A ja nigdy nie miałem odwagi zapytać, uznawszy, że moja rodzina (przede wszystkim mama), wystarczająco dużo przeszła, by musieć wspominać bolesną przeszłość dla zaspokojenia mojej ciekawości. Niestety trudno dzisiaj, mimo wszelkich moich starań, z braku dokumentów zweryfikować jakiekolwiek informacje na temat ojca. To co wiem na pewno, i co może być dla mnie wskazówką do dalszych poszukiwań, to fakt, że pracował jako zarządca w majątku Antoniego Witosławskiego.

Moja mama zaś, Stanisława, z domu Utzig, przyszła na świat w wielodzietnej rodzinie. Na początku dwudziestego wieku przeżywalność dzieci była stosunkowo niska. Można więc w przypadku rodziny mamy mówić o wielkim szczęściu, bo z dziesięciorga dzieci moich dziadków dziewięcioro przeżyło. A to, jak na tamte czasy, było bardzo dużo. Wśród całego potomstwa, jakiego dorobili się moi dziadkowie, był tylko jeden syn, wujek Józef. Wielki patriota. Ale szczegółowo o nim potem. Do tego Józek był już dziewiątym dzieckiem z kolei, z pewnością oczkiem w głowie dziadka. W końcu to jego jedyny syn. Po nim u Utzigów urodziła się jeszcze jedna córka, Joanna. Zmarła jednak w wieku dwunastu lat, na zapalenie opon mózgowych. Gdyby wymienić wszystkie siostry Utzig z imion, zaczynając od najstarszej, szło by to tak: Ewa, Jula, Lola, Stanisława (moja

mama), Marysia, Ania, Hela i Mila. Z każdą z moich ciotek wiąże się jakaś historia, stąd warto usystematyzować pewne kwestie na początku tej opowieści. Co ciekawe, choć w domu Utzigów póki żył dziadek mówiło się po niemiecku, żadne z rodzeństwa nie miało niemieckiego akcentu. Być może duży wpływ miała na to edukacja w freblówce [2], czteroklasowej szkółce w Kimirzu, do której uczęszczały dzieci z tej rodziny.

Ostatnią formalnością będzie przedstawienie mojego rodzeństwa. Ja urodziłem się jako trzeci (w 1931, jak wspomniałem). Moja najstarsza siostra miała na imię Tosia (ur. w 1926). Potem był brat, Czesław (w 1929). Najmłodsza z nas, Weronika (w 1934), mieszkała w Anglii.

Dziadek Ludwik Utzig z babcią Teresą w otoczeniu dzieci. Kimirz, r. 1915.

Opiszę teraz pokrótce gospodarstwo, na którym się wychowywałem. Dom był położony od frontu. Za nim znajdował się duży budynek gospodarczy i inne, nieco mniejsze, dwupokojowe mieszkanko, w którym prawdopodobnie w czasie budowy mieszkali moi rodzice. Potem pomieszkiwał w nim parobek, choć wolał spać przy koniach… Dalej mieściły się wozownia i narzędziownia. Stało w nich kilka wozów, bryczka i rozmaite sprzęty rolnicze: brona, siewnik czy pługi. Dokładnie naprzeciwko domu, na całej jego długości znajdowała się stodoła z ogromnymi wrotami, przez którą wóz, na przykład pełen siana, mógł

swobodnie przejechać w obie strony. Na wysokości domu po lewej znajdowało się „królestwo" mojej mamy, czyli pomieszczenia dla kur, których mieliśmy bardzo dużo. Poza nimi rodzice posiadali także konie, krowy, świnie, gęsi, króliki, a nawet perliczki i liliputki.

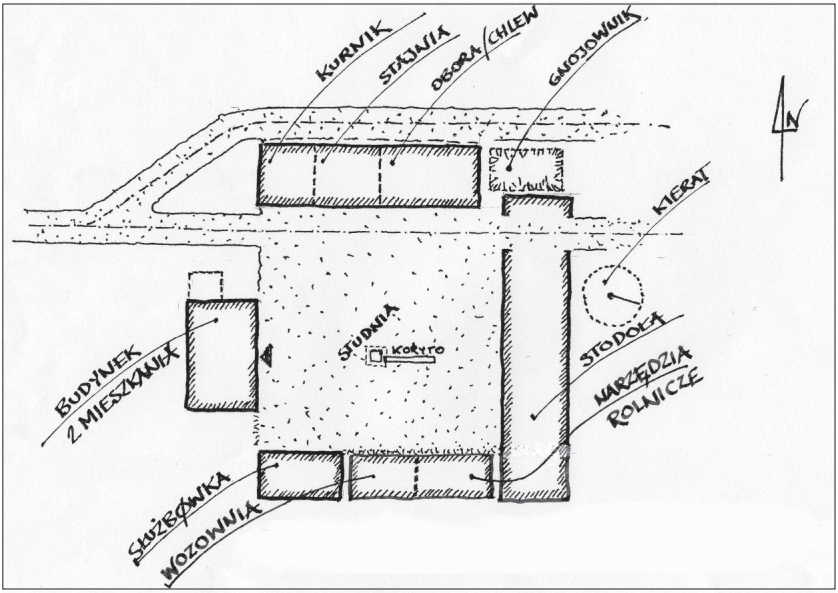

Plan (z pamięci) gospodarstwa moich rodziców w Poheblicach.
Rysunek wykonał Paweł Ogielski.

Jako rodzeństwo byliśmy bardzo zżyci. W czasach przedwojennych nikt nie bał się o dzieci, które swobodnie bawiły się na wielkich przestrzeniach. Mimo ogólnie panującego spokoju, pewnego dnia nasza najmłodsza siostra napędziła nam stracha. Tosia zdążyła już wyjść do szkoły, a Werusia zniknęła. W ostatniej chwili dostrzegliśmy ją znikającą za wzgórzem. Okazało się, że poszła za swoją starszą, ukochaną siostrą. Miała przy sobie kobiałkę, wypełnioną polanami drewna. Od niej dowiedzieliśmy się, że to na wypadek gdyby musiała zostać gdzieś na noc i rozpalić ognisko. (Weronika miła wtedy cztery lata!) Mogliśmy się jednak tego po niej spodziewać. Zniknęła już wcześniej, a kiedy po kilku godzinach systematycznego przeszukiwania włości odnaleźliśmy ją, spała ułożona w kłębuszek pomiędzy rzędami ziemniaków. I doprawdy nie wiedziała, skąd to całe zamieszanie.

Trzeba jednak wspomnieć, że mieszkaliśmy na Kresach a to oznaczało, że najbliżsi sąsiedzi znajdowali się od nas w odległości około pół kilometra.

Naokoło rozciągały się ogromne przestrzenie. Dlatego gdy do naszego domu włamał się złodziej, bezpieczniej było tylko nasłuchiwać, czy już poszedł. Nikt z nas nie odważył się nawet pisnąć, podczas gdy włamywacz buszował po strychu, przystawiwszy wcześniej drabinę do okna w miejscu, gdzie nie sięgały uwiązane psy. Wiadomo było, że przyszedł po jedzenie. Być może nie był nawet uzbrojony, ale ryzykować na odludziu nie należało. Dlatego tylko czekaliśmy, aż odejdzie. Innym razem, po żniwach, złodziej stłukł szybę, by dostać się do domu. Miał pecha, bowiem w pokoju, do którego chciał wejść, było zgromadzone zboże. Gdy tylko pękło szkło, ziarna posypały się przez wybite okno. Na szczęście, niewiele się zmarnowało, a włamywacz uciekł. Pamiętam nawet, że po zdarzeniu przyszedł do nas policjant. Przyszedł, a może przyjechał na rowerze? Takimi wtedy pojazdami poruszała się policja. Pamiętam też że miał karabin, mausera.

Legitymacja cioci Marii, która uczęszczała na kurs rachunkowości, a później wyszła za mąż za lwowskiego przedsiębiorcę, Leopolda Jagoszewskiego.

W gospodarstwie nic się nie marnowało. Rodzice byli, gdybym miał ich określić współcześnie, samowystarczalni. Sami robili masło i sery. W końcu z tego żyli. Nawet my, a było nas czworo, dostawaliśmy jajka tylko wtedy, gdy ich cena spadała poniżej półtora grosza za sztukę. Jeśli nie, wszystkie szły na sprzedaż. Chociaż oczywiście nigdy niczego nam nie brakowało, absolutnie nie! Po prostu, tak wtedy trzeba było żyć, by mieć się z czego utrzymać.

Niedużo miałem lat, może pięć, może sześć, kiedy mój ojciec zniknął z domu. Długo chorował i młodo zmarł. Niewiele też mam wspomnień z nim związanych. Jedynie migawki, widziane jak przez mgłę. Szczególnie, że rodzice w ogóle mieli dla nas więcej czasu dopiero zimą, gdy ziemia zasypiała pod grubą warstwą śniegu. Bywało i tak, że byliśmy odcięci od świata, a do położonych

po drugiej stronie podwórza domów przekopywaliśmy się jedną trzecią dnia. Siadywałem ojcu na kolanach. Tak, na pewno… Ale ledwie to pamiętam. Dużo wyraźniej rysuje mi się obraz, gdy wraz z moim rodzeństwem byliśmy przez niego sadzani na wozie drabiniastym. Do tego dochodzi też traumatyczne, z perspektywy dziecka wspomnienie, mimo że dziś nawet zabawne, związane poniekąd z ojcem. Do naszego gospodarstwa należał niewielki las. Każdej jesieni był przerzedzany, by lepiej rokujące drzewa mogły swobodnie rosnąć. To był właśnie taki dzień, kiedy ojciec przywiózł z lasu młode, ścięte buki. Niegdyś drzewa, szczególnie te, które miały może najwięcej 10 cm średnicy, cięto siekierą. A to powodowało, że ich pnie były ostre. I to właśnie ostre pieńki wystawały ze stosu zrzuconego z wozu przed stodołą. Wyszedłem na podwórze. Wtedy z lewej strony natarła na mnie rozdrażniona zgraja gęsi. Chciałem im uciec ale wybrałem zły kierunek. A one powoli przypierały mnie do palisady ostrych, bukowych kolców. Strasznie mnie wtedy poszczypały… w plecy! Ale w końcu zostałem uratowany.

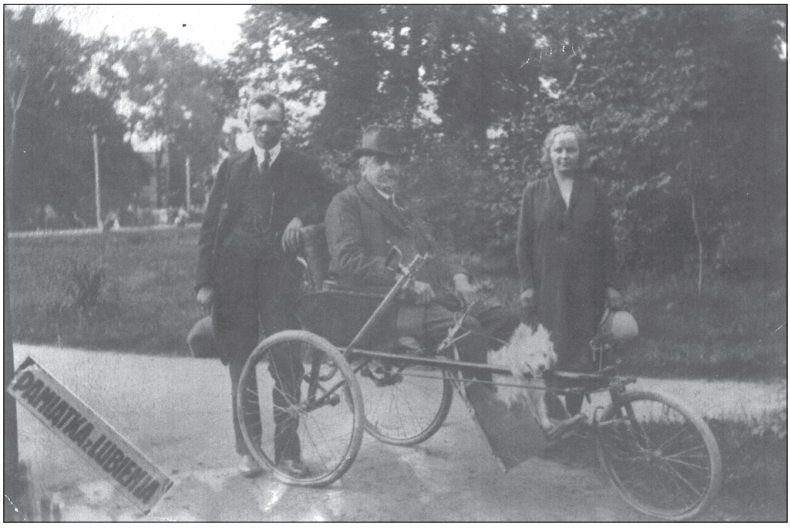

Ojciec, Mikołaj Cyganiuk, z mamą podczas pobytu w sanatorium w Lubieniu. Towarzyszyli Antoniemu Witosławskiemu.

Wspominam też, jak jeździliśmy bryczką do kościoła. To była zawsze wielka wyprawa. Musieliśmy pokonać dystans 2,5 km. Ojciec pozwalał mi siadać koło siebie na koźle. Dla mnie jako dziecka był to wielki zaszczyt. Jednak podobnych wydarzeń w pamięci mam niewiele. Gdy miałem pięć lat ojciec zachorował. Ze szpitala we Lwowie nie wrócił do domu. Do dziś nie wiem, z jaką chorobą przegrał walkę o życie.

Fakt, że ojca już nie ma nie dotarł do mnie od razu. Byłem jeszcze mały. Pamiętam natomiast, że niespełna rok później moja mama wyszła ponownie za mąż za naszego sąsiada, Jana Męcnera. Żyli w niedalekim sąsiedztwie od wielu lat, znali się więc dobrze. Mój ojczym urodził się w Kanadzie, dokąd na początku wieku wyjechali jego rodzice. Z samego ślubu mamy i Jana Męcnera wspominam niedużo. Był bardzo cichy. Dziś wiem, że powodów dla tej ciszy było parę. Po pierwsze, mama wciąż nosiła żałobę po ojcu. Nie przystawało wyprawiać wesela. Nie szedł za tym także fakt, iż ojczym, biorąc sobie za żonę wdowę z czwórką dzieci, niejako popełnił mezalians. Musiał kochać moją mamę… W każdym razie ślub był skromny i cichy. Na pewno odbył się zimą. Zaraz po przyjeździe z ceremonii ze Świrza, rodzice, bo tak ich nazywam po dziś dzień, a ojczyma często nazywam ojcem, pojechali zarejestrować ślub do urzędu (wtedy śluby konkordatowe nie istniały). A naprawdę wesela przedwojenne bywały bardzo huczne. Może osobiście nie pamiętam, bym na takim był, ale wystarczy wspomnieć inne rodzinne uroczystości, by uświadomić sobie, jak wielkie miały one znaczenie dla rodzinnych tradycji i więzów. Ot, choćby święta. Dziś skomercjalizowane Boże Narodzenie rozpoczyna się już w listopadzie, zaraz po Wszystkich Świętych. Fakt, wtedy o komercji w ogóle nie było mowy. Ale okres przedświąteczny na kresowych gospodarstwach także rozpoczynał się co najmniej miesiąc przed Gwiazdką. Przede wszystkim przez wzgląd na fakt, że ozdób choinkowych nie można było kupić. Do pracy przy łańcuchach, wisiorkach i innych takich angażowano nas, dzieci. Z kolorowych papierów tworzyliśmy kilkumetrowe ozdoby, którymi okręcało się choinkę. Starsze dzieci piekły pierniczki w kształcie aniołków, czy robiły cukierki, które potem wieszało się na świątecznym drzewku. Nie zabrakło też suszonych owoców, choć nie pamiętam, by na choince świeciły jakiekolwiek „lampki". Za to drzewko dotykało sufitu, wysokie na trzy metry. Było wprost ogromne. Oczywiście, na święta odpowiednio wcześniej przygotowywało się jedzenie. Prawdziwe kresowe zimy na kilka tygodni odcinały nas od świata, dlatego na gospodarstwie niczego nie mogło zabraknąć. Obowiązkową potrawą, ulubioną przez wszystkie dzieci, była kutia, dziś mało popularna. Robi się ją z odpowiednio preparowanej pszenicy, maku, orzechów i rodzynek, połączonych miodem. Pamiętam nawet, że na jedne ze świąt dostałem ubranko marynarskie, bardzo modne w tych czasach. Oczywiście, zdążyłem potem, na wiosnę, przejechać w nim rowerem przez głęboką kałużę… Nie muszę kończyć, jak wtedy wyglądało, i jaka awantura czekała mnie w domu. A tak bardzo mi się podobało! Było przecież prezentem, który zapadł mi w pamięć na całe życie. W dniu wigilii, wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na pierwszą gwiazdkę. Dopiero wtedy wolno nam było zasiąść do przygotowywanych przez miesiąc świąt i całym dniu postu, którego jako dzieci nie rozumieliśmy; pod wieczór więc byliśmy wściekle głodni.

Podobnie było ze świętami Wielkiej Nocy. Urządzaliśmy wyprawę do

kościoła rzymskokatolickiego w Przemyślanach, by święcić pokarmy. Jajka barwiło się na brązowo, gotując je w cebulowych łupkach. Na rozmaite sposoby przyozdabiało się wydmuszki, mające charakter czysto dekoracyjny. Malowaliśmy je farbami domowej roboty lub naklejaliśmy na nie kolorowe szmatki. Jedzenie i ozdoby przygotowywaliśmy w podobnej długości okresie poprzedzającym. Dlatego też uważam, że ślub mamy i ojczyma był jak na te standardy bardzo cichy i skromny.

Ojczym miał liczną rodzinę i stare, mało funkcjonalne gospodarstwo. Choć sam świetnie zarabiał! W owych czasach miał naprawdę doskonały zawód. Był specjalistą od ogrzewania centralnego, także gazowego. A to czyniło go rozchwytywanym fachowcem. Wspominam go też jako osobę niezwykle obrotną i pracowitą. Dlatego niedługo po ślubie rodzice kupili dom w Przemyślanach przy ulicy Zielonej 14. Zamieszkaliśmy w nim dosłownie na chwilę - w lecie 1939 roku.

W międzyczasie, wprowadziła się do nas siostra mojej mamy z rodziną, ciotka Ewa Fink. Nazwisko wymieniam nie bez tendencji. Ze wszystkich sióstr mojej mamy, tylko ta jedna wyszła za mąż za Niemca (choć przecież wszystkie siostry Utzig miały niemieckie pochodzenie). Pozostałe kobiety z rodziny mamy wyszły za mąż za Polaków i w dodatku patriotów. W każdym razie mąż ciotki Ewy, Piotr, był rzekomo mało sympatycznym człowiekiem. Nie wiem, czy właśnie to było powodem, dla którego ktoś spalił doszczętnie ich gospodarstwo w Kimirzu. W każdym razie Ewa i Piotr, z pięciorgiem dzieci, zostali bez dachu nad głową. Po naszej przeprowadzce do Przemyślan, gdzie mieszkaliśmy w niedalekim sąsiedztwie naszej babci i ciotek Mili i Loli, ciotka Ewa została na gospodarstwie w Poheblicach, którym miała się zajmować. Było to bardzo ważne, szczególnie że majątek był zadłużony przez długotrwałą chorobę mojego ojca. Może trudno dziś w to uwierzyć, ale mój ojczym kupił dom w mieście, by moja mama nie musiała więcej harować na roli. Dziś, jeśli w ogóle, tacy mężczyźni zdarzają się rzadko.

Podczas krótkiego okresu przed przeprowadzką do miasta, poszedłem do szkoły. Oczywiście jak każde dziecko bardzo chciałem zacząć edukację. Tu w końcu trochę o mnie. Wówczas byłem bardzo chudy. Miałem też długie blond loki. Po kilku dniach od zachłyśnięcia się szkołą, wróciłem do domu zły i oświadczyłem, że więcej tam nie wrócę. W końcu, pytany, przyznałem się, że w klasie nazywają mnie dziewczynką. Przez moje loki właśnie. Wtedy to zabrano mnie na zewnątrz, posadzono na pniaku i obcięto włosy. Maszynką, wedle mojego życzenia. Pamiętam tylko, że były bardzo krótkie i że nadal chodziłem do szkoły, gdzie nie nazywano mnie już dziewczynką. Codziennie dzielnie przemierzałem dwa i pół kilometra z Poheblic do centrum miasta. Do szkoły zupełnie przecież innej niż te współczesne. Dzwonek, który dziś słychać z budynków oświaty, nie istniał. Zamiast niego był człowiek, pedel (woźny), który

pilnował czasu naszych zajęć. Na przerwę wzywał nas, chodząc po szkole i dzwoniąc własnym, ręcznym dzwonkiem. Prąd owszem w szkole był, ale włączany pod wieczór, jak w całych Przemyślanach. Warto też dodać, co dziś jest już rzadkością, że wówczas istniał także podział na szkoły męskie i żeńskie. Były to wręcz dwa osobne budynki, znajdujące się na terenie kościelnym. Moja szkoła (w budynku po lewej, po prawej dla dziewcząt) miała jedno piętro, w klasach zaś znajdowały się dwuosobowe ławki w trzech rzędach.

Moje ciotki, Karolina Bodak i Emilia Mądrzak przed wejściem do sklepu w Przemyślanach, 1936-1937.

Gdy ktoś mnie zapyta, jakim byłem uczniem, bez zastanowienia odpowiadam: przeciętnym, z tendencją do złego. Nie tylko źle się uczyłem ale i zachowywałem (a przynajmniej tak sądzę). Gdybym miał powiedzieć w czym byłem dobry, stwierdziłbym, że w gimnastyce. A jednak pamiętam zdarzenie, kiedy w Poheblicach, przeskakując przez płot, nieodpowiednio wymierzyłem odległości i zawisłem ze stopą uwięzioną między sztachetami, wołając pomocy (a dokładniej drąc się wniebogłosy). I cóż z tego, skoro było tak daleko zarówno od domu, jak i od najbliższego sąsiada, że moje położenie odkryto dopiero parę godzin później. Oczywiście w szkole także miałem incydent z płotem, a właściwie wyższym parkanem. Jeden z nauczycieli miał na podwórzu ogródek warzywny, a może kwiatowy, nie jestem pewien. Nie pomny wcześniejszych doświadczeń, znów źle oceniłem i przeskakując przez ogrodzenie owego ogródka potknąłem się, po czym przejechałem przez niego, kosząc jedną z grządek własnym nosem. Do dziś widać tego skutki, choć wtedy nikt specjalnie się tym nie przejął. Byłem cały i nie trzeba było mnie wieźć do szpitala. A nauczyciel pewnie nawet nie zauważył strat w ogródku.

Przemyślany miały może pięć tysięcy mieszkańców. Dominowały tu przede wszystkim społeczności: polska, ukraińska i żydowska. Był to swego rodzaju tygiel narodowościowy. Mieszkali tu też Ormianie. W mieście znajdował się sklep z butami *Bata,* który być może prowadził wówczas Czech. W każdym razie firma z pewnością była czeska, słynna wtedy tak samo jak dziś. Do tego żyli w mieście Węgrzy i Niemcy. Choć miasteczko nie było duże, znajdowały się w nim dwie lub trzy restauracje, szczególnie pamiętam z pewnych względów tę *U Kowalczyka* (gdzie mój ojczym zakładał centralne ogrzewanie), był szewc, krawiec, dentysta, dwóch lekarzy, mały szpitalik, żydowskie sklepy - kolokwialnie mówiąc, ze wszystkim, tak zwane sznaps, mydło i powidło, gdzie można było kupić coś nawet w niedzielę – od zaplecza, sąd, starostwo, gimnazjum i szkoła podstawowa, a nawet seminarium nauczycielskie, które ukończyła jedna z moich ciotek. Prowadzono też kursy z handlu i rachunkowości. Jeden z wykładowców, po takim właśnie kursie, stał się moim wujkiem. Jak łatwo wywnioskować, brała w nim udział moja ciotka - Ania. Siostry mojej mamy, Mila i Lola, prowadziły w mieście pod szyldem *Utziżanka,* sklep ze słodyczami. Do tego w poniedziałek w Przemyślanach organizował się targ, na którym można było kupić między innymi produkty spożywcze.

W całym tym wielonarodowościowym tłumie, liczącym sobie pięć tysięcy osób, niemal każdy znał się z każdym, i to z imienia i nazwiska. Ludzie przyjaźnili się ze sobą, Polki wychodziły za mąż za Ukraińców, a Polacy brali za żony ukraińskie kobiety. W pewnym momencie o tym, czy ktoś był „bardziej" Ukraińcem, czy Polakiem, decydowano na chrzcie, niosąc oseska do odpowiedniej parafii. I tak, jeśli ktoś został ochrzczony w parafii rzymskokatolickiej, był Polakiem i mógł mieć spolszczone nazwisko, jak ja. Jeśli zaś ktoś został ochrzczony w parafii grekokatolickiej, był Ukraińcem. Wskutek podobnych praktyk ludzie wspólnie obchodzili święta kościelne i jednej i drugiej strony, szanując sąsiadów do tego stopnia, że nie zdarzyło się, by Polak pracował na roli w święta prawosławne, a Ukrainiec w katolickie. Nawet Żydzi, mający przecież kompletnie inne zwyczaje religijne, przestrzegali naszych świąt. O własnej tożsamości narodowej można było swobodnie decydować, bo i tak, poza drobnymi różnicami, nie miało to większego znaczenia. Zdarzało się nawet tak, że parafianie grekokatoliccy przychodzili na mszę do naszego kościoła. Z prostego powodu. Msze w kościele rzymskokatolickim nie przekraczają półtorej godziny, w przeciwieństwie do ciągnących się po dwie, trzy, nabożeństw prowadzonych przez popów. Zabawne, prawda? Życie w okręgu lwowskim było jedyne w swoim rodzaju.

2. Wojna i wywózka na Sybir

Przeprowadzka do Przemyślan z Poheblic (które uściślijmy, były osiedlem pod miastem) miała nie tylko ułatwić życie mamie ale i nam, dzieciom, wstępu-

jącym w wiek szkolny. Mieliśmy wszędzie blisko. Niestety, dosłownie chwilę później w Przemyślanach zastała nas wojna. W związku z czym zmuszeni byliśmy z powrotem zamieszkać w Poheblicach. I tu pamięć wraca, jakby to co mam teraz przed oczami, zdarzyło się wczoraj. Ponieważ, jak już wspomniałem, droga, przy której stało gospodarstwo w Poheblicach była traktem, wiodącym ku granicy rumuńskiej, a front zaczął się przesuwać, byłem świadkiem exodusu ludności. Pod moimi oknami przez prawie dwa tygodnie przechodziły tysiące ludzi. Z tobołkami, wozami konnymi, przejeżdżający automobilami czy motorami. Czasem widok był zupełnie nietypowy przez to, że ludzie podróżowali nie tylko wewnątrz ale i na zewnątrz aut, siedząc na błotnikach i trzymając się wystających reflektorów. Moja mama gotowała dla nich wielki gar kompotu, wspomagając ludzi jak tylko mogła, także jedzeniem. Na noc zostawiano otwarte drzwi stodoły, by uchodźcy mieli gdzie spać. Po kilkugodzinnej drzemce jednak wstawali, by iść dalej.

Nastał dzień siedemnasty września 1939 roku. Nagle wszyscy ci ludzie, którzy niczym w kondukcie żałobnym bezustannie szli przez trakt obok mojego domu, zniknęli. Miałem nawet takie odczucie, że się gdzieś rozpierzchli. Część została pewnie w Przemyślanach, inni wracali z powrotem na zachód (bo po ich specyficznym akcencie słychać było, że pochodzą stamtąd właśnie). W każdym razie do granicy raczej nie dotarli. A tymczasem na ziemie kresowe powoli wkroczyło wojsko radzieckie, „wyzwalać" tereny wschodnie.

Kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, wróciliśmy do nowego domu w Przemyślanach. Oczywiście do szkoły nie chodziłem. Szkoły nie było... Moi rodzice urządzali się w mieście. Nasze lokum nie było zbyt wielkie ale nam wystarczało. Mieliśmy trzy pokoje, kuchnię, niewielki ogródek i budyneczek gospodarczy. Naturalnie ani wojna ani kolejna przeprowadzka nie przeszkodziły mojej mamie w zabraniu na nowe „gospodarstwo" krowy. Bo kiedy w domu było mleko i zboże, to oznaczało życie. A gdy do tego doszły kartofle, to już było całkiem dużo.

Z natury byłem ciekawski i ruchliwy. Powiedziałbym, że musiałem być wszędzie. Po kilku dniach krzątaniny przy nowo urządzanym lokum, wybrałem się na miasto. Na głównej ulicy zobaczyłem tankietkę [3]. Wraz z grupą innych dzieci obserwowałem ją, chodząc dookoła. Nikt z niej jednak nie wysiadł, choć ruchy czegoś na kształt wieżyczki zdradzały obecność ludzi wewnątrz. Nie wiedzieliśmy wtedy, że czołg przyjechał na zwiady. Kilka dni później w mieście zaroiło się od żołnierzy radzieckich. Dla nas, dzieci, wyglądali oni bardzo zabawnie. Mieli śmieszne czapki ze szpicami. Do tego każdy z nich nosił karabin, ale broń nie wisiała na porządnym rzemieniu, a jedynie na parcianym pasku. Prawdę mówiąc, wyglądali opłakanie. Do tego cel ich misji był co najmniej dziwny, dla nas młodych niezrozumiały. „Wyzwolenie ziem dla uciśnionych Ukraińców". Uciśnionych? Komuś tu było źle? Młodzi chłopcy z Ukrainy i ci

pochodzenia żydowskiego dostali od żołnierzy czerwone opaski. Wyróżniały ich one z tłumu, dla podkreślenia ich większych praw na tych terenach. Choć ja jeszcze zanadto tego nie odczułem. Ale starsza młodzież, to co innego. Ukraińcy wierzyli, że Rosjanie wywalczą dla nich na wojnie „samostijnę Ukrainę".

Między ludźmi zaczęło się psuć. Powoli, ale niechęć postępowała. Bogatszym odbierano majątki i interesy, jak choćby *Utziżankę* moim ciotkom. Dawne przyjaźnie przestawały istnieć z dnia na dzień. Nie obchodzono już wspólnie świąt. Zachęcani przez Rosjan Ukraińcy patrzyli na dawnych polskich przyjaciół jak na wrogów. Najpierw zaczęło się od incydentu w Krosienku, gdzie Ukraińcy zaprosili na „popijawę" swoich polskich kolegów i bardzo się z nimi pokłócili. Później część z biorących udział w spotkaniu Polaków została zamordowana. Potem podobne zdarzenia miały miejsce w kolejnych miastach. Zdarzało się nawet, że jeśli głową rodziny był wówczas Ukrainiec, mordował żonę i córki, oszczędzając synów. Przyjaciel zwracał się przeciwko przyjacielowi, sąsiad przeciwko sąsiadowi. Tak właśnie uwidocznił się nacjonalizm ukraiński, tolerowany wówczas przez Rosjan, z którego wykiełkowało ludobójstwo – temat tabu, niepodejmowany jeszcze przez długie powojenne dekady.

Nastała zima. Znów poszedłem do szkoły. Wśród dzieci nie dało się zauważyć oznak nietolerancji narodowościowej, która zawładnęła dorosłymi. Nie odczuwałem na własnej skórze tego, co działo się na Kresach… aż do 10 lutego 1940 roku.

Jak zawsze, o poranku (i nie tylko) każde z nas miało w domu pewne obowiązki. Moim było zaniesienie mleka od naszej krowy, do naszej babci, która w Przemyślanach mieszkała kilka ulic dalej, na Pierackiego. Wyszedłem z domu jak zwykle. Dotarłem do domu babci. Chwilę później nastało dziwne, niecodzienne zamieszanie. Zatrzymano mnie i nie pozwolono mi wrócić na Zieloną 14. Jak się potem okazało, rozpoczęła się, pierwsza z trzech, wywózka ludności pochodzenia polskiego z Kresów na Sybir.

Po mieście krążyli enkawudziści, w kilkuosobowych patrolach. Potem dowiedziałem się, że mieli bardzo dokładnie zaplanowany dzień. W pierwszym rzucie pukali do drzwi osób majętnych, posiadaczy interesów, urzędników państwowych i inteligencji oraz osób wskazanych przez Ukraińców i Żydów. Tak więc w pierwszym transporcie znalazły się osoby znaczące, które mogły mieć wpływ na społeczność Przemyślan.

Powodów dla których NKWD zapukało do drzwi domu moich rodziców było wiele. Po pierwsze, byli ludźmi zamożnymi. Po drugie mama była z pochodzenia Niemką. Mój ojczym pochodził z zachodu, a urodził się w Kanadzie. Ale najważniejsze było co innego. Kilka domów dalej, na Zielonej, mieszkał ukraiński sąsiad. W chylącym się ku upadkowi domku. Potem dowiedzieliśmy się, że nasz bardzo mu się spodobał. W trakcie wywózki mojej rodziny już czekał na klucze do naszego domu.

Enkawudziści kierowali się do drzwi moich rodziców. Mimo to, w pierwszej chwili pomylili nazwiska. Mój ojczym, Męcner, miał sąsiadów o nazwisku Miller. Zanim Millerowie zdążyli wytłumaczyć ludziom z patrolu, że ci pomylili adres, z domu zdążyła jeszcze wyjść do szkoły moja starsza siostra. Żołnierze w końcu dotarli pod właściwe drzwi. W domu zastali Werkę, Czesława i moich rodziców. W pierwszej chwili zdezorientowany ojczym uciekł z domu, zostawiając mamę i moje rodzeństwo samych. Podejrzewam, że był to beznadziejny odruch, reakcja na strach i niewiedzę tym bardziej że był przekonany, iż NKWD przyszło właśnie po niego. Żołnierze mieli rozkaz zabrania z domu wszystkich mieszkańców, więc postanowili poczekać. Tylko dlatego moja mama miała nieco więcej czasu, żeby się spakować. Żołnierze czekali do trzeciej po południu. Ponieważ przeważnie przerażeni ludzie, brali ze sobą wszystko co nie było im tak naprawdę potrzebne, jeden z enkawudzistów po cichu podpowiedział mamie, by brała jak najwięcej.

- Bierz wszystko - szeptał, bo nie było mu wolno mówić tego oficjalnie. - Wszystko ci się tam przyda.

Kiedy ani ojczym ani Tosia i ja nie zjawialiśmy się, żołnierze zapakowali mamę i moje rodzeństwo na sanie, którymi wcześniej przyjechali i wraz z innymi wywieźli do Kurowic, na stację kolejową. Ukrainiec z końca ulicy wprowadził

Stanisława i Jan Męcnerowie z dziećmi, Czesławem i Weroniką
w Krasnym Borze na Syberii w 1942 r.

się do domu moich rodziców w dwa dni. Do tego ojczym był dumnym posiadaczem motoru marki Harley Davidson. Także i na ten rarytas czaił się pewien Żyd. W tamtych czasach człowiek, który miał motor z przyczepą był znany na całe miasto! Kiedy przejeżdżał, biegły za nim wszystkie dzieci. Dlatego gdy zaczęły się niepokoje, ojczym ukrył Harleya za polanami drewna opałowego, które były ułożone względem frontowej długości. Dzięki temu maszyny nie było widać. Oczywiście po wywózce Żyd odnalazł skrzętnie schowany motor. Co prawda bez unikatowego gaźnika, który Męcner, jak mówił później, ukrył jeszcze lepiej niż sam motor.

Po kilku dniach mój ojczym, który kochał moją matkę, pożegnał się z rodziną i zgłosił się na NKWD. Na szczęście skład w Kurowicach nadal stał (a mogły minąć nawet trzy dni). Ludzie zamarzali w podstawionym na tory pociągu przy temperaturze sięgającej blisko czterdziestu stopni poniżej zera. Potem w trakcie drogi do Czarnego Lasu na Syberii, gdzie zmuszeni byli zamieszkać moi rodzice, wiele osób zamarzło właśnie z braku ciepłych ubrań. Ojczym dołączył do mamy i mojego rodzeństwa. Jako zaradny i pracowity człowiek, okazał się być opiekunem, bez którego mojej mamie mogłoby być na Syberii ciężko, a nawet zbyt ciężko.

Spośród całej mojej rodziny wywieziono tylko mamę, ojczyma, Czesia i Weronikę. Poza ciotką Ewą, która dostała możliwość wyjazdu do Niemiec jeszcze na początku wojny, wszystkie siostry mamy zostały na Kresach. Podczas pierwszej wywózki moja siostra była w szkole. Jej koledzy zorientowali się, co się dzieje w mieście i zamknęli ją w ubikacji. Jak już mówiłem, wśród dzieci nie było czuć nastrojów antypolskich. Tosia wiele godzin przesiedziała w toalecie. Nie wiem nawet, czy to była wygódka na zewnątrz czy może ubikacja w budynku. W każdym razie i ją ominął los dwójki młodszego rodzeństwa. Oboje byliśmy w podobnym położeniu. Jeśli zostalibyśmy odnalezieni po wywózce, zabrano by nas do domu dziecka. Gdzieś w głębi Rosji. Z takich dzieci jak my można było stworzyć „prawdziwych patriotów", oczywiście radzieckich. Dlatego w pierwszym rzędzie ja zostałem zabrany do cioci Loli (Karoliny Bodak), a Tosią zaopiekowała się ciocia Mila (Emilia Mądrzak). U Loli było o tyle bezpiecznie, że wyszła ona za Polaka z rodziny ukraińskiej. Przypuszczam, że był on ochrzczony w parafii grekokatolickiej, ponieważ gdy moja rodzina szła do kościoła, on szedł na „setkę" do restauracji Kowalczyka.

Życie toczyło się dalej, choć zupełnie inaczej niż dotąd. Nie chodziłem do szkoły, bo po raz kolejny nie było to możliwe. Z Tosią widywałem się rzadko. Rzadko w ogóle wychodziłem na dwór. Jeśli już, to wieczorem, przebrany za dziewczynkę na wszelki wypadek. Nie zapominajmy, że na sąsiadów trzeba było uważać. Oczywiście nie Polaków. Było nas zbyt mało, by komuś chciało się kolaborować. Ale ogólnie nie należało zbyt wiele mówić. Po pierwszej wywózce były jeszcze dwie. W kwietniu i czerwcu. Kolejne nie nastąpiły, za to rozpoczęła

się wojna radziecko-niemiecka, o której przebiegu napiszę później.

Po jakimś czasie, na wiosnę, otrzymaliśmy pierwszą kartkę z adresem do rodziców i rodzeństwa, przebywających na Syberii. Dzięki temu wiedzieliśmy, gdzie posyłać paczki. Korespondencja nie dość, że była znikoma to jeszcze cenzurowana. Dowiedzieliśmy się, że na miejsce wolno nam było posyłać paczki nie cięższe niż… pięć lub dziesięć kilo. Nie pamiętam, w każdym razie nieduże. Moja rodzina jednak dowiedziała się, że paczki wysyłane z Kijowa mogły być dużo cięższe. W maju szwagrowie mojej mamy zapakowali jej paczkę, która ważyła pięćdziesiąt kilogramów. Mówili wtedy, że spakowali do niej nawet kurtkę (nie wiem, skąd się wzięła ale rodzicom z pewnością się przydała). Nie wiem, co jeszcze znajdowało się w środku, ale przy spotkaniu ze mną po wojnie, mama mówiła, że rzeczy wówczas nadesłane niemal uratowały im życie. Szczególnie, że gdy pakunek dotarł zaczęła się wspomniana już wojna radziecko-niemiecka.

Powoli nasze grono się pomniejszało. Aby mnie nie zabrano (a przeszukania stawały się coraz częstsze), stworzono dla mnie specjalną kryjówkę. Za lustrem buduaru nazywanego psychą, które stało w rogu pokoju, była niewielka przestrzeń, w której czasem przychodziło mi spędzać po kilka godzin. Długi czas, wciśnięty w róg pokoju, na baczność! Bez mamy, rodzeństwa i ojczyma, wywiezionych na Sybir, których losów nie znałem, czułem się bardzo samotny. Nie umiałem nawiązać żadnej więzi emocjonalnej z ciotką, czy wujkiem, gdy jeszcze był w domu. Babcia była bardzo surowa, a pozostałe ciotki jeszcze odleglejsze niż Lola. Druga strona też nie wykazywała się szczególną troską czy zainteresowaniem. Ważne było, bym miał ubranie, jedzenie i abym chodził do szkoły. Po jakimś czasie faktycznie wróciłem do nauki. I tu nie było mi łatwo. Aby móc znów chodzić do szkoły musiałem wstąpić do Pionierów, czyli organizacji przypominającej harcerstwo, choć oczywiście bardzo od niego dalekiej, bo komunistycznej. Każdy z nas, uczniów, musiał więc nosić odpowiedni strój. Składały się na niego czerwony halsztuk [4] i broszka zapinana pod szyją. Ale w domu nigdy nie wolno mi było się w nich pokazać. W końcu to były barwy okupanta! Dlatego przed wyjściem do szkoły zawsze zachodziłem do wygódki stojącej na podwórzu. Tam ubierałem swój organizacyjny „mundurek" i ruszałem do szkoły. Po lekcjach znów zdejmowałem wrogie barwy w wygódce przed domem. I tak codziennie.

Brak więzi emocjonalnych z opiekunami powoli wykształcał u mnie syndrom dziecka wojny, który jeszcze długo po jej zakończeniu we mnie pokutował. Najlepiej zobrazować czasy wojny słowami: „jakoś się żyło". Ciotka kupiła kozę, którą pasłem. Dzięki temu było w domu mleko. Z mlekiem także wiąże się zabawne wspomnienie. Nasza rodzina dużą wagę przywiązywała do religii i kościoła. Ale babcia była szczególnie wytrwale praktykująca i chodziła do kościoła codziennie rano (około półtora kilometra, o lasce). Kiedy wracała po mszy, zawsze była głodna, a co za tym idzie - wściekła. Ale to do tego stopnia, że nie

należało wchodzić w drogę, bo można było tą laską zarobić w plecy! Moim zadaniem było zorganizowanie babci śniadania. Ciotki miały zapewne w pamięci surowe, matczyne wychowanie. Po śmierci dziadka wszystkie osiem sióstr wraz z moją mamą, przejęło obowiązki mężczyzny na gospodarstwie Utzigów. Jako młode dziewczyny pracowały fizycznie: orały, siały, zbierały plon, oporządzały zwierzęta i tym podobne. Babcia chowała je twardą ręką, zupełnie tak jak później one mnie. Dlatego pewnie to ja miałem się teraz narażać na gniew babci, idący w parze z jej głodem. Ale jako spryciarz (nie lubię tego słowa, ale zwykłem określać nim siebie) miałem wszystko tak obliczone, że gdy babcia wracała do domu i widziałem ją na końcu ulicy, wstawiałem mleko na fajerkę [5]. Gdy docierała do domu, mleko było już gotowe. Potem, po południu, siadała na rozgrzanej jeszcze kuchni, zawinięta w koc. Na ścianie w zasięgu jej ręki wisiała rózga. Ponieważ wygrzewanie się na kuchni było jej formą relaksu, nawet chodzić należało tak, by jej nie zdenerwować i nie „uruchomić" owej rózgi.

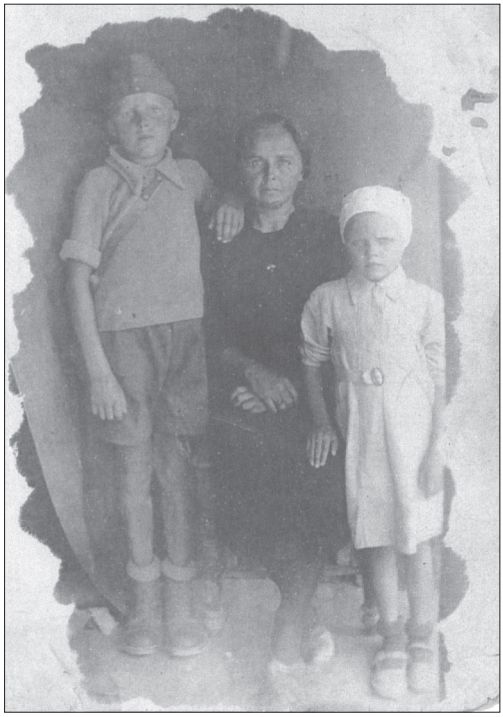

Mama z Czesławem i Weronką na Syberii, 1942 r.

Wydawałoby się więc, że życie przebiegało normalnie. Zabawne sytuacje, rytuały rodzinne, zależności i wspomnienia pozostały na zawsze wpisane w nasze życie.

Ale prawda była diametralnie inna w tamtym czasie. Życie było ciężkie, puste i jałowe. Pamiętam, jak jeszcze w 1941 r. zamknięto kościół. Co niedzielę ludzie składali się na coraz wyższe kontrybucje nakładane na wspólnotę. W końcu i tak świątynię zamknięto i pozbawiono ludzi nawet tego (pewnie w obawie przed skutkami większych zgromadzeń). A trzeba pamiętać, że kościół znaczył dla ludzi coś więcej niż coniedzielna msza. Poza zebraniami, na których czytano przepowiednie Wernyhory i królowej Saby, spotkania w kościele były możliwością do rozmów o wojnie, patriotyzmie czy przekazaniu sobie cennych informacji. Kiedy odebrano ludziom możliwość wspierania się w trudnych chwilach

w kościele, który dotąd stwarzał pozory autonomii polskiej na okupowanych Kresach, jedynym słusznym celem stało się przetrwanie. Dla podtrzymania jako takich więzi i dodawania sobie wzajemnie otuchy, czytano właśnie owe przepowiednie na małych, rodzinno-sąsiedzkich „wiecach". Mnóstwo z proroctw było całkiem trafnych i oddających rzeczywistość, jaka zastała świat w 1939 r. Trzeba jednak mieć na uwadze, że moja rodzina, z babcią na czele, wywodziła się z czasów w których to co było już dla mnie całkiem normalne, nie mieściło się w sferze ludzkich fantazji! Ot, takie wspomnienie.

Kiedyś nad naszym domem w Poheblicach przeleciał dwupłatowiec. My, dzieci, patrzyłyśmy na niego zafascynowane i uradowane. A nasza babcia padła na kolana krzycząc: „antychryst!". O takim pokoleniu mówimy. Interpretacje przepowiedni Wernyhory w oczach tamtych ludzi były więc bardzo wiarygodne, a ich pozytywne przesłania dawały nadzieję na dobrobyt i rychły koniec okupacji.

Jednakże podczas wojny mało było takich pozytywnych dni czy zdarzeń. Nawet jedzenie było jednostajne i zawsze należało je oszczędzać. Wytworzył się we mnie nawet taki odruch. Gdy po tym, jak zjadłem pajdę chleba pytany byłem, czy chcę jeszcze, zawsze odpowiadałem „nie" (wiedząc, że trzeba oszczędzać), a ręka sama wyciągała mi się po więcej. Inną formą przetrwania stał się handel wymienny. Oczywiście pozabierano sklepy polskim posiadaczom i przez to handlowało się wszystkim, co było pod ręką. W cenie było jedzenie i ubrania. Te drugie robiło się dosłownie ze „wszystkiego". Czasem coś się odpruło, przeszyło, przewróciło no drugą stronę i chodziło dalej. W sklepach zaopatrywanych w towar z kooperatywy [6] sprzedawano na przykład buty. Przed sklepem ustawiała się gigantyczna kolejka. Do wewnątrz wpuszczano po pięć osób. Warunkiem dostania towaru były odliczone pieniądze. Buty przydzielano, a to oznaczało, że nie można było ich sobie wybrać, nawet pod względem numeru. Czasem więc wychodziłem z takiego sklepu z butami damskimi. Wtedy pozostawało mi wymienić się z jakąś panią, której trafiło się obuwie w moim rozmiarze. A i tak proponowane buty były nietrwałe (podgumowane, ze świńskiej skóry). Dlatego większość czasu chodziło się w drewniakach [7]. Zamiast skarpet nosiłem onuce [8] (bo skarpet nie było). Ale najlepsze były tzw. walonki [9], z wełny wielbłądziej. Były bardzo ciepłe. Ale by się nie psuły, trzeba było im dorobić podeszwy. Tu materiał także był najróżniejszy. Jedni adaptowali na nie pasy transmisyjne [10], inni opony rowerowe. Oczywiście trudno było takie walonki zdobyć. Miało je rosyjskie wojsko. Ale i wojsko wkrótce zniknęło.

Cdn.

---

[1] Dawna miara powierzchni; jeden mórg to 56,017 arów.

[2] Dawny rodzaj przedszkola (lub szkoły), prowadzony według zasad stworzonych

przez pedagoga F. Fröbela.

[3]] Mały pojazd gąsienicowy z niewielką wieżą obrotową.

[4] Trójkątna chusta, wiązana pod szyją jako ozdoba. Po wejściu w użycie krawatów, funkcjonowała w wojsku jako rodzaj szalika.

[5] Rodzaj prymitywnego kochera w formie małego naczynia utrzymującego żar.

[6] W ustroju komunistycznym kooperatywami nazywano uspołecznione, czyli odebrane prywatnym przedsiębiorcom punkty handlowe, towary, punkty usługowe; na przykład kooperatywa spożywcza, wytwórcza itp.

[7] But drewniano skórzany na grubej podeszwie, typu klapek.

[8] Wykrojony fragment tkaniny bawełnianej lub lnianej w kształcie prostokąta lub kwadratu, w który zawija się stopę, zanim założy się but. Używana zamiast skarpet.

[9] But typu kozak, niezwykle ciepły i jednocześnie przewiewny. Rozpowszechniony przez Rosjan, popularny do dziś.

[10] Pas w urządzeniu, np. rolniczym, przenoszący siłę napędu z koła na koło.

Zbigniew Bednarz

Upamiętnienie pomordowanych w Hanaczowie

W dwóch napadach na Hanaczów (3.02 i 10.04.1944 r.) i sąsiednią Hanaczówkę, dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich oraz podczas pacyfikacji przeprowadzonej przez niemiecki batalion policyjny (2.05.1944 r.), zginęło prawie 200 mieszkańców. Pod względem liczby ofiar był to największy akt ludobójstwa w pow. Przemyślany. Pozostali przy życiu mieszkańców wyjechali do pobliskich polskich wiosek.

W lipcu 1945 r. część ludności Hanaczowa, razem z mieszkańcami Biłki Szlacheckiej, wyjechała na Ziemie Zachodnie i osiedliła się na Górnym Śląsku, głównie w Gliwicach i w innych miejscowościach oraz w powiecie Koźle i Niemodlin.

W sierpniu tego roku, razem z mieszkańcami Czyszek wyjechali hanaczowiacy, którzy się tam schronili. Osiedlili się na Dolnym Śląsku w powiecie Lubań Śląski: w Wesołówce, Księżynach, Radzimowie, Półpicy Górnej, jak również w samym Lubaniu, a niektórzy w Wykrotach (pow. Bolesławiec).

O zabezpieczenie i upamiętnienie mogił osób pomordowanych z obu

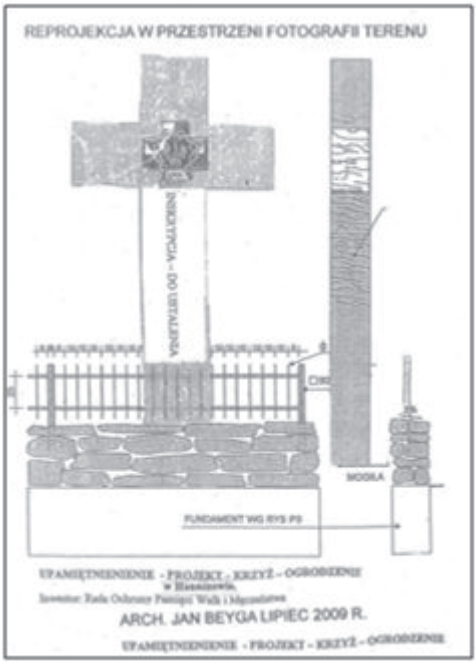

Projekt krzyża na grobach w Hanaczowie.

wiosek rodziny podjęły pierwsze starania jeszcze w r. 2003, kierując pisma do Instytutu Pamięci Narodowej (2003 r. i 2006 r.), Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (2007 r. i 2014 r.), a także do Prezydenta RP (2006 r., 2010 r. i 2014 r.). Ale oprócz obietnic nie odniosły one żadnych pozytywnych skutków w tym zakresie.

Dopiero w r. 2017 Prezes IPN-u, dr Jarosław Szarek, przysłał wyjaśnienie, w którym napisał: „Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu pozostaje w stałym kontakcie z Panem Bednarzem w kwestii zabezpieczenia w przyszłości mogił zamordowanych. Dzięki Panu Edwardowi Bednarzowi uzyskaliśmy informację o precyzyjnej lokalizacji miejsc pochówku ofiar tej straszliwej zbrodni. Masowe mogiły są obecnie porośnięte trawą i znajdują się na terenie nieużytków rolnych. Jest to o tyle niezrozumiałe, że ustawowo zniesiona Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa doprowadziła do wzniesienia i odsłonięcia pomnika poświęconemu ofiarom zbrodni na terenie zdewastowanego hanaczowskiego cmentarza, natomiast nie zajęła się mogiłami zamordowanych Polaków.

Wobec powyższego, uprzejmie informuję, że Instytut Pamięci Narodowej wpisał na listę swych planów urządzenie mogił ofiar zbrodni w Hanaczowie oraz zapewnienie ich szczątkom godnego, chrześcijańskiego pogrzebu. Niestety, do chwili obecnej na przeszkodzie tym działaniom stoi nieprzejednane i nieprzyjazne stanowisko władz Ukrainy odnośnie możliwości poszukiwania i pochowania szczątków obywateli polskich zamordowanych i zmarłych na terenie Ukrainy, jak również prowadzenia przez Rzeczpospolitą Polskę prac porządkowych na już istniejących polskich miejscach pamięci narodowej, na terenie co jest formą <<odwetu za legalne rozebranie przez władze samorządowe pomnika gloryfikującego zbrodnicze formacje OUN i UPA w Hruszowicach, pow. Przemyśl.>>”

Wreszcie w marcu 2019 r. Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa przysłało do mnie satysfakcjonujące pismo o treści: „… Instytut Pamięci Narodowej

zamierza wykonać w tym roku ogrodzenie wokół dwóch mogił zbiorowych na hanaczowskim ugorze, gdzie pochowano ofiary napadów z lutego i kwietnia 1944 r. Jednocześnie planujemy również wykonać ogrodzenie urządzonej mogiły sp. sierż. Jana Antonowa, dowódcy bohaterskiej obrony wioski przed niemiecko-ukraińską pacyfikacją w maju 1944 r. Wspomniane prace zostaną przeprowadzone po ustaleniu budżetu zadaniowego BUWiM na bieżący rok."

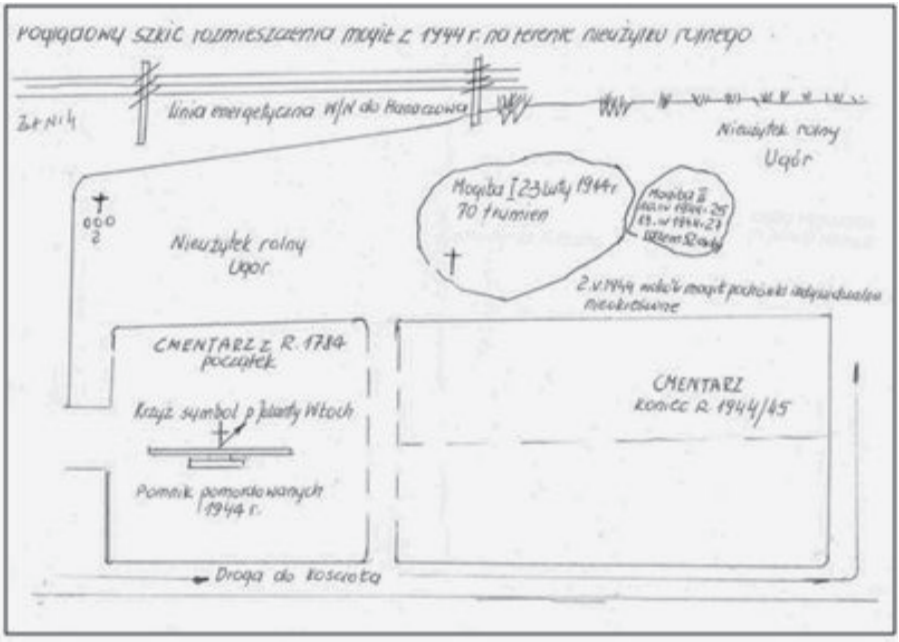

Umiejscowienie dwóch grobów zbiorowych w sąsiedztwie cmentarza hanaczowskiego.

Gdy rodziny pomordowanych dowiedziały się o przerwaniu blokady dostępu do mogił, skierowały (03.10. 2019 r.) list do IPN-u przypominający podjęte „…zapewnienia o zabezpieczeniu i upamiętnieniu mogił znajdujących się na ugorze obok cmentarza. Postawienie pomnika z tablicami pomordowanymi na początku cmentarza z roku 1787 przez rodziny mieszane, polsko-ukraińskie, jest ukraińską perfidią. Ten stan nie może tak trwać."

Mamy nadzieję, że IPN wywiąże się z obietnic i rozpocznie prace.

Red. Dzięki uprzejmości dra Damiana Markowskiego redakcja naszej gazetki została również powiadomiona o częściowym wykonaniu ogrodzenia terenu, gdzie spoczywają szczątki osób zamordowanych. Odpowiednie fotografie ogrodzenia przedstawiamy na następnej stronie.

Ogrodzenie terenu z mogiłami ofiar napadów na Hanaczów.

Andrzej Mucha

O Męczennikach

Zamordowano siedemdziesiąt osób.
Działo się to dziewiątej godziny.
Wieczór był straszny drugiego lutego.
Póki kto żyw będzie nie zapomni…

Z czterech stron wsi naszej zgraja bandery leci,
rakiety puszcza.
Zaraz cała wieś się pali.

Tam, ojciec chowa dziatki do piwnicy.
Ich wszystkich ocalił a sam jeden zginął.
Trafiła go kula, aż mu mózg wyskoczył.
Dał życie za dzieci.
Niech mu za to światłość wiekuista świeci.

Rodzina, krzyk usłyszała.
Skryć się…
Córka leciała. Zabita!
Syn w mieszkaniu, matka tak jak spała.
Nie było ratunku, ani pomocy,
tylko jęk żałosny pośród jasnej nocy.

Słychać głos z płomieni, jakiś głos urwany,
to matka, syn i córka …. mordowani.

Sąsiad.
Zabrał dziecię, na pole ucieka.
Trafiła go kula.
Zginął tak jak dziecię,
które trzymając w ramionach, ratował.
Kula przeszyła małe serduszko.

Matka z córką na ziemi leżały,
chłopczyka zasłaniały
od katowskiej ręki.
By go nie zabili, bo jeszcze maleńki.

Ojciec z dziećmi
jak z nimi uciekał - zabili ich troje!
Dziewczyna, chociaż ranna,
życie uprosiła.

Staruszka zabili
na kopcu ziemniaków,
dzieci rozpłoszyli
tak jak z gniazda ptaki.

Rodzina pożar ujrzała.
Do piwnicy dziatki maleńkie…
Ratować życie!
Sześć ich spłonęło;
ciała zwęglone przy wejściu leżały
w rodzinnym uścisku,
tak śmierci czekały.

Wartownicy co wioski strzegli
zakłuci zostali w najstraszniejszy sposób
i tak zginęło dalszych siedem osób.

Niedaleko od nich jest panna raniona.
Prosi o ratunek, wyciąga ramiona…
Odchodzi na drogę wieczności.

Tu leży gospodarz u progu swej chaty,
chciał dom ratować a sam padł ofiarą
obowiązku swego, który pełnił z wiarą.
Nowa banda zbirów od Zagóry
jak gradowa chmura.
Drzwiami się włamali,
domowników wyrżnęli
chatę zapalili.
Córeczka pod łóżkiem została.

Rozgorzał ogień straszny
też w sąsiednim domu.
Spalili sześć osób…
Kosteczki zostały.

Tu też mężczyzna zginął.
Zostawił żonę, sam jeszcze młody. Bronił wsi dzielnie.
Odszedł do Boga po wieczną nagrodę
osierocając syneczka małego,
który ojca nie ujrzy,
ni domu swojego…

Starca mordując
o familię pytali ukrytą.
Nie powiedział.
Skatowany ginie.
Córkę za drzewem straszna śmierć spotkała…
Z wszystkich tylko wnuczka przy życiu została.

Zbiorowe morderstwo.
Tak tu Polska ginie!
Tak banda zbójów kocha bliźniego.

Tyle było ofiar owej jednej nocy,
tyle Polski uległo katowskiej przemocy.
Ty Boże, płaczesz za… niewinnymi?
Przez dwa dni dla wszystkich mogiły kopano,
do Świątyni znosi zwłoki wieś spłakana.
Siedemdziesiąt trumien stawianych w szeregi
wypełniało wnętrze Świątyni po brzegi.
Nabożeństwem szloch,
krzyk nieustanny.
W kierunku cmentarza
płynęły ludzkie rzeki.
Gdy pierwsze trumny cmentarza sięgały,
ostatnie dopiero kościół opuszczały.

To Twoje Boże wierne sługi.

Trumny równomiernie ramionami kolebane
Pol-ska, Pol-ska, Pol-ska.

Boże, gdzież Ona.
Nad głębokim dołem?
Kiedyś ujrzą ten grób usypany
Ozdobiony wieńcem,
Takim jaki miał na głowie Chrystus krzyżowany.
Daj im wszystkim Jezu Chryste wieczne odpocznienie.

Wiersz opisujący tragedię Hanaczowa w 1944 r. nadesłał p. Zbigniew Bednarz. Utwór zapewne jest pierwowzorem bardziej popularnej ballady, napisanej przez A. Muchę, i przedstawionej w „Spotkaniach Świrzan" nr 50, str. 15. Fragmenty były publikowane również w innych książkach.

Red. Tekst powielono z czasopisma „Nasza Lusina" str. 6 i 7, przysłanego przez p. Krzysztofa Dziurlę, redaktora tej gazetki.

Grażyna Hawro

Lusina i Ciemierzyńce w 2019 r.

Podróż do kolebki naszych rodzin

Kolebką większości rodzin lusińskich są Ciemierzyńce, na tzw. Kresach Wschodnich, w powiecie przemyślańskim. Ukraińcy nie używają nazwy „Kresy Wschodnie", bowiem dla Ukrainy są to ich „Kresy Zachodnie". My używamy tej nazwy w sensie historycznym, a nie geograficzno-administracyjnym. „Kresy" to jedno wielkie wspomnienie trudnej drogi naszych rodzin, na bardzo pięknej ziemi, na której Ukraińcy i Polacy bronili się przed najazdami ludów wschodnich. Każda podróż na tamte tereny wywołuje ogromne emocje, jakby nagle cała historia zwalała się na nas. Jak nasi przodkowie tam żyli, jak to wszystko oni przeżyli, jak oni sobie tutaj radzili, co nam przekazali, co mówią ich groby, co dzisiaj jest w nas samych z tych Kresów? Jak się tam pojedzie i rozglądnie wokoło, to wszystko do ciebie mówi jakimś wyczuwalnym językiem. Nawet mówią pagórki i rzeczka i drzewa.

Pomiędzy dzisiejszą Lusiną a dzisiejszymi Ciemierzyńcami nie ma żadnego porównania. Domy w Lusinie są wielkie, przestronne, wygodne, drogi dobre, a w Ciemierzyńcach domy są raczej małe, trochę ubogo wyglądające, jakby nic się tu nie zmieniło od pół wieku, drogi pełne dziur, trudne do przejechania. Widać, tak też żyli nasi przodkowie, ostatni przed opuszczeniem Ciemierzyniec. Można by powiedzieć, że nie mamy za czym żałować, że trzeba było

to pozostawić i osiąść w Lusinie. Z całą pewnością jest nam lepiej i może to właśnie powoduje, że ten kontrast wywołuje w nas poczucie potrzeby przyjścia z pomocą.

Udział członków wycieczki w nabożeństwie w ciemierzyńskim kościele.

Jest tym mocniejsze, że prawie w każdym domu w Ciemierzyńcach spotykamy dzisiaj ludzi o takich samych nazwiskach, jak dzisiaj w Lusinie. A więc są z nami w różnym stopniu spokrewnieni. Wojny i wysiedlania porobiły różnice pomiędzy ludźmi, ale długie lata pokoju znowu zaczynają nas łączyć. Są też takie miejsca, gdzie ludzie zapominają o podziałach, bo wszyscy są równi, nie ma podziałów narodowych i politycznych. Takim miejscem jest dom modlitwy i nie ma znaczenia, czy on się nazywa kościół czy cerkiew.

Ks. Piotr Smolka i kościół w Ciemierzyńcach

Wyjechaliśmy samochodem z Lusiny do Ciemierzyniec w środę 11 września 2019 r. późnym wieczorem i na miejsce dotarliśmy w czwartek rano. Najpierw odwiedziliśmy zaprzyjaźnioną rodzinę, a następnie udaliśmy się na spotkanie z ks. Piotrem Smolką. Ten skromny zakonnik Salezjanin, na którego mówią „Ojciec Piotr", jest proboszczem rzymskokatolickim w kościele pod

wezwaniem Św. Stanisława Kostki w Ciemierzyńcach. Jest także proboszczem w kościele Św. Piotra i Pawła w Przemyślanach, przy klasztorze Ojców Salezjanów. Przy tym klasztorze jest hotelik, w którym zatrzymują się turyści podróżujący na Kresy. Polecamy ten hotelik.

Księdza Piotra poznaliśmy już podczas poprzedniej naszej wizyty w roku 2017. Bardzo interesowało nas, jak sobie ks. Piotr radzi z remontem kościoła w Ciemierzyńcach. Pamiętaliśmy, że dwa i pół roku temu ten kościół był jedną wielką ruiną, zupełnie zapomniany i zaniedbany, bez podłogi, był piach i żwir, popękane i walące się ściany, dziury w dachu, bez ławek, nawet bez ołtarza.

Ks. Piotr podjął się z własnej woli remontu kościoła. Kiedyś już podźwignął z ruin kościół w Dunajowie, jest jakby specjalistą od przywracania życia na ruinach. 15 września 2019 r. odbył się w Ciemierzyńcach odpust, na ten odpust zostaliśmy zaproszeni. Przekazaliśmy dary od Lusiny, w tym ornat św. Stanisława Kostki i bieliznę kielichową.

Wspólna fotografia na tle ołtarza w ciemierzyńskim kościele. Pośrodku ks. Piotr Smolka.

Składając dary nie traktujemy tego jako dary dla kościoła polskiego - jakby ktoś z Ukraińców mógł pomyśleć - lecz jako dar dla kościoła katolickiego, czyli dla katolików tam, na Ukrainie, niezależnie od tego, czy oni są Polakami, czy Ukraińcami, czy jeszcze innej narodowości. Pod tym względem jest już inny świat i inne czasy, i my i oni patrzymy do przodu.

Byliśmy bardzo zaskoczeni wielkim postępem prac w remontowanym kościele. Wszystko się zmieniło, jest ładna posadzka, odnowione ściany w części dolnej, jest ołtarz i są ławki. Wiele z tych prac wykonano dzięki ofiarności szlachetnych fundatorów, do których należą także lusinianie. Raz w miesiącu miesz-

kańcy Ciemierzyniec modlą się z wdzięcznością za fundatorów. Pamiętajmy o tym i wspomagajmy ich. Prosili, żebyśmy podziękowali wszystkim, którzy pomagają i to tymi słowami czynimy. Są naprawdę wdzięczni i mili. Potrzebne są jeszcze środki finansowe na dokończenie remontu.

Rozmowy, wspomnienia

Jak już wspomniałam, wszędzie w Ciemierzyńcach spotykaliśmy znajome nazwiska. Wypytywali o rodziny z Lusiny, interesowali się jak żyjemy. Pomogli nam w ustalaniu dziejów naszych rodzin, w uzupełnianiu faktów historycznych oraz gdzie kto mieszkał i jak się tutaj żyło. Jedno jest bardzo wyczuwalne i piękne: oni są bardzo życzliwi, serdeczni i gościnni. Przez pięć naszych tam pobytów doświadczaliśmy wielkiej gościnności. Będzie nam miło gościć ich w Lusinie, a szczególnie dobrego ducha tamtych stron, wspaniałego ks. Piotra.

Red. Na stronie www.kpbc.ukw.edu.pl znajduje się opis działalności Elżbiety Malinowskiej i wspomnienia Joanny Domaszewskiej, łączniczek z bóbreckiego Obwodu AK oraz lista proponowanych odznaczeń akowców przez Inspektorat Południowy, w tym z przemyślańskiego Obwodu AK. Z tekstu wypisano również niektóre informacje o osobach związanych z konspiracją w powiecie i wydarzeniami na tym terenie.

Propozycje odznaczeń i awansów

Chruściel Józef, jako gajowy, mieszkając na skraju lasu od strony Przemyślan, odpierał ataki banderowców na Hanaczówkę i Hanaczów. Propozycja - Krzyż Walecznych. [*W publikacji A. i A. Wojtowiczów „Kronika Małej Ojczyzny w Lwowskim Okręgu AK-NIE-WiN" nie ma informacji o takich akcjach przeprowadzanych przez Józefa Chruściela. - J.W.*]

Kochan Jan, jako dowódca 1. rezerwy dowódcy, przeprowadził dywersję w Romanowie, gdzie było dowództwo banderowców. Propozycja - Krzyż Walecznych. [*W powyższej publikacji również nie ma informacji o akcji dywersyjnej w Romanowie. - J. W.*]

Górski Mieczysław, sierżant, jako adiutant dowódcy odważnie przedostawał się do podległych oddziałów z rozkazami, jak również brał udział w obronie Hanaczowa. Propozycja - Krzyż Walecznych. [*Zapewne chodzi o plut. Zygmunta Górskiego ps. „Mietek", oficera organizacyjnego przemyślańskiego Obwodu AK. Nie jest znany jego udział w obronie Hanaczowa. W obawie o życie wyjechał z Hermanowa do Lwowa. - J.W.*]

Wojciechowski NI, jako dowódca rejonu Kurowice-Słowita, podczas napadu na

Hanaczów, zabezpieczył swój rejon i zbliżające się oddziały banderowskie zostały odparte. Propozycja - Krzyż Walecznych. [*Żadne publikacje nie podają akcji w okolicach Kurowic dowodzonej przez Jana Wojciechowskiego vel Stanisława Krutina. Po drugim napadzie na Hanaczów oddziały banderowskie powróciły do Siedlisk i Romanowa. - J.W.*]

Jastrzębski Paweł, por., uformował oddział na tyłach banderowców i uderzył na nich przełamując linię, przedzierając się do Hanaczowa, a poza tym oddziałem, po chwilowym odpoczynku, dał rozkaz kontratakować i sam brał udział, zmuszając banderowców do wstrzymania ataków i do rozpoczęcia wycofywania się banderowców. Propozycja - stopień kapitana i Krzyż Virtuti Militari V Kl. [*P. Jastrzębski nie utworzył oddziału na tyłach napastników Hanaczowa, bo skąd miał wziąć uzbrojonych ludzi. W czasie drugiego napadu na wioskę powracał z grupą kilkunastu partyzantów z Hanaczowa z okolic Grząskiego (koło Kopania), gdzie oczekiwał na zrzut broni i amunicji z samolotu, ale zrzutu nie było. - J.W.*]

Wójtowicz Kazimierz, sierż., jako dowódca plutonu dyspozycyjnego obwodu, będąc na kontroli placówek, natknął się na większą grupę banderowców i rozpoczął walkę przez co zmusił banderowców do ucieczki, a także na leśnej drodze z Przemyślan do Hanaczowa; zostając ranny w rękę, kierował obroną AK w Hanaczowie. Propozycja - stopień ppor. i Krzyż Virtuti Militari V kl.

Kazimierz Wójtowicz „Głóg”. Reprodukcja z: A. i A. Wójtowicz, „Kronika Małej Ojczyzny w lwowskim okręgu AK-NIE-WiN”.

Wójtowicz Alojzy, szer., jako szef sanitarny w Hanaczowie zwalczył tyfus plamisty, jak również podczas obydwu napadów opatrywał rannych, a często sam odwoził do Lwowa. Propozycja - stopień ppor. i Krzyż Virtuti Militari V kl.

O. Wiktor, kapelan obwodu, podczas napadu brał udział w obronie, a także udzielał sakramentów św. rannym i chorym na tyfus. Propozycja - stopień kpt. i Krzyż Virtuti Militari V kl.

Semkowicz Rudolf, sierż., w ciężkich warunkach przeprowadzał wywiady nocne po wsiach poznając zamiary ich [*ukraińskich - J.W.*] mieszkańców. Propozycja - stopień st. sierż. i Krzyż Walecznych.

„Jastrząb”, sierż., za walkę z banderowcami i milicją ukraińską, podczas napadu

na Świrz dnia 15.03.1944 r., zadając im poważne straty, jak i przyjście z pomocą wiosce w pobliżu Świrza, którą atakowali banderowcy i zabranie Polaków do Świrza. Propozycja - stopień st. sierż. i Krzyż Walecznych. [*Pseudonim wskazuje na osobę sierż. Jana Kleszczyńskiego ze Świrza. Jednak podany napad na wieś, jak i data, są zmyślone. W tym czasie, w nocy z 15 na 16 marca, oddział Kedywu ze Lwowa przeprowadził akcje odwetową w Chlebowicach Świrskich, zaś napad niewielkiej grupy banderowców na Zadębinę (przysiółek Świrza) miał miejsce dopiero w czerwcu tego roku. - J.W.*]

Semkowicz Mieczysław „Mietek", sierż., jako dowódca kompanii w Dunajowie atakował nocami oddziały banderowców po wsiach, przygotowywał Dunajów do obrony w kościele i na około Dunajowa, a także przeprowadzał nocami Polaków do Dunajowa z zagrożonych wiosek ukraińskich wraz z dobytkiem. Propozycja - stopień st. sierż. i Krzyż Walecznych. [*Znany jest apel „Mietka" o gromadzeniu broni w kościele, jednak nie spotkał się on z pozytywnym odzewem, bo było jej mało. Nieliczni posiadacze woleli ją zatrzymać do ewentualnej obrony osobistej. Nie jest znana ani jedna akcja polskiego oddziału z Dunajowa na banderowców zgrupowanych na wsi. Nie było frontalnego napadu na miasteczko. Bojówki UPA napadały jedynie na niektóre zgrupowania domów polskich, ponieważ zabudowania Polaków i Ukraińców były pomieszane. - J.W.*]

„Granat", sierż., jako dowódca plutonu w Przemyślanach przygotowywał obronę miasta, jak również podczas pierwszego napadu banderowców na Hanaczów zaatakował ich od strony Przemyślan ze swym plutonem, zadając straty i zmusił do wycofania się za Romanów. Propozycja - stopień ppor. i Krzyż Walecznych. [*Zapewne chodzi tu o Tadeusza Nowego z Przemyślan, dowódcę tamtejszego Rejonu AK. Wg relacji akowców z Przemyślan, niosących pomoc samoobronie hanaczowskiej, przyszli oni już po napadzie na wieś a grupa liczyła nie pluton tylko kilka osób. - J.W.*]

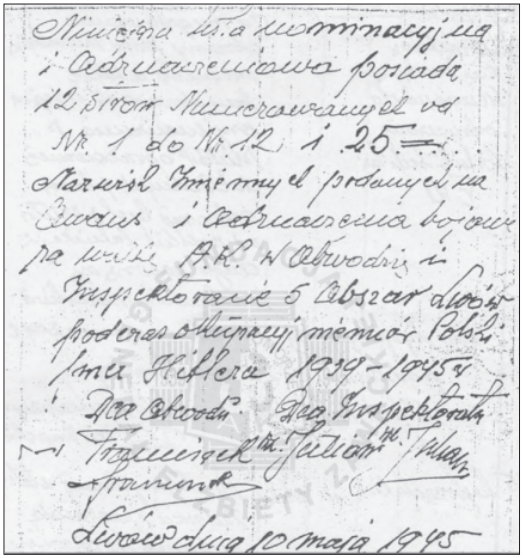

Początkowa strona wniosków dotyczących awansów i odznaczeń.

„Wilk", jako dowódca plutonu specjalnego przeprowadza walki z banderowcami w rejonie Dunajowa i zmusza ich do odwrotu, jak również przeprowadza wal-

kę z oddziałem z Hanaczowa na wieś Stanimierz(?) rozbijając sztab banderowców. Propozycja - stopień st. szer. i Krzyż Walecznych. [*Pseudonim oraz podany teren rzekomych walk wskazuje na Winicjusza Weretczuka z Ciemierzyniec, który używał również pseudonimu „Gryf". W. Weretczuk jedynie napadał na leśniczówki w Ciemierzyńcach i Wypyskach celem zdobycia broni. „Gryf" wprawdzie był z oddziałem w Hanaczowie w marcu 1944 r., pokonując niebezpieczną trasę z Wicynia, ale nie brał udziału w akcji na Stanimierz, bo takiej nie było. - J.W.*]

Red. Każdy z wyżej wymienionych konspiratorów wykonywał bardzo niebezpieczną pracę. Z analizy uzasadnień widać jednak, że dość dużo zasług akowców przesadnie zwiększono a niektóre zmyślono. Nie zostały uwzględnione przez stosowne dowództwo lwowskiego Obszaru AK do nadania stopni wojskowych i odznaczeń. Potwierdzeniem tego mogą być dane z pracy J. Węgierskiego „Obsada osobowa Lwowskiego Obszaru SPZ-ZWZ-AK-NIE w latach 1939-1945", str. 78, 80-8. Z niej wynika, że w Obwodzie Przemyślany nie było osób odznaczonych Krzyżem Virtuti Militari, jedynie Kazimierz Wójtowicz otrzymał czterokrotnie Krzyż Walecznych.

Działalność Elżbiety Malinowskiej

Elżbieta Malinowska „Wanda" w opanowanym przez UPA terenie w Obwodzie przemyślańskim weszła w kontakt w 1943 r. z Komendantem Obwodu Rudolfem Semkowiczem. Wspólnie udali się do Dunajowa, gdzie była zainstalowana stacja nadawczo-odbiorcza w celu przekazania do Londynu wiadomości o sytuacji panującej w lwowskim Obszarze Południowo-Wschodnim. [*W tym czasie Rudolf Semkowicz był oficerem informacji (wywiadu) przemyślańskiego Obwodu AK - J.W.*]

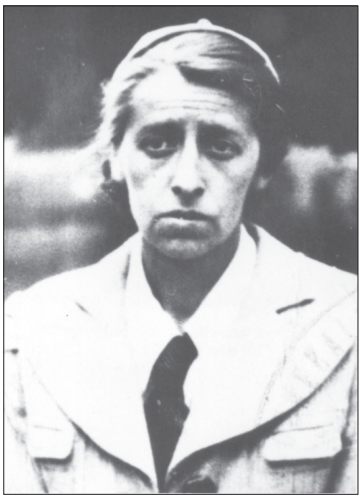

Maria Etterle ‚Myszka".

(…) Ostatni raz łączniczki „Wanda" i „Hanka" [*Joanna Domaszewska - J.W.*] zostały wezwane przez Komendanta mjr Anatola Sawickiego. Otrzymały rozkaz wywiezienia części archiwum AK-NIE do Krakowa. W październiku transportem z Sichowa wyjechały z referentką Marią Etterle „Myszką". Przekroczyły bez przeszkód granicę. Zdeponowały archiwum w Krakowie pod wskazanym adresem. [*Maria Magdalena Etterle „Myszka", „Magda" ur. 1909 w Przemyślanach była nauczycielką w tamtejszej szkole. W czasie okupacji niemieckiej wyjechała do Lwowa, gdzie była referentką Inspektoratu*

Południowego AK. Od niej podziemną prasę odbierały kolporterki z Przemyślan, Helena Szyra „Hala" i Rozalia Ostrowska „Róża", przekazując „bibułę" Zofii Procajłowicz „Janina", referentce Wojskowej Służby Kobiet w Obwodzie Przemyślany. M. M. Etterle zmarła w 1969 r. w Bytomiu. - J.W.].

Wspomnienia Joanny Domaszewskiej

Zgrupowanie oddziałów leśnych miało być wspierane przez partyzantkę kpt. Fryderyka Stauba „Procha", która po akcji w Hanaczowie przeszła przez lasy świrskie na teren Obwodu Bobrka. Tam akcja „Burza" rozpoczęła się już 18 lipca. Jednakże na prośbę oddziału sowieckiego, partyzantka wpierw dokonała zbrojnego ich wsparcia na niemiecki tabor. Potem wycofała się do Świrza, aby chronić ludność przechowującą rannych Rosjan po stoczonej walce oddziałów rosyjskich z Niemcami. Następnie, zmuszona przez sowieckiego dowódcę, partyzantka „Procha" została wcielona do oddziałów rosyjskich i brała udział w ataku na szwadron niemiecki w Bóbrce. [*Oddział kpt. „Procha" wszedł do miasta nad ranem i dopiero w południe bronił się przed nacierającym oddziałem Wehrmachtu. - J.W.*]

22 lipca zostałam wysłana ze Starego Sioła w celu nawiązania kontaktu z komendantem „Prochem", a następnie miałam przeprowadzić partyzantkę do Komendy Zgrupowania w Starym Siole. Przeszłam przez wsie ukraińskie Wodniki i Podmanasterz. Wchodząc do następnej z nich, Budkowa, natknęłam się na patrol niemiecki, wtedy upozorowałam pracującą w polu dziewczynę, Na punkcie w Szpilczynie u Jadwigi Ciechanowskiej zastałam zastępcę kpt. „Procha" ppor. Alojzego Wojtowicza „Juranda". Po wymianie informacji i określeniu sytuacji, jaka zaistniała w partyzantce, przeprowadziłam „Juranda" do Starego Sioła. Wieczorem zameldowałam się z „Jurandem" u komendanta Sawickiego. (…) [*Zastępcą kpt. „Procha" był Jan Mączyński „Boguś", który z oddziałem przeszedł do Bóbrki, gdzie został ranny. Alojzy Wójtowicz w tym czasie nie posiadał jeszcze stopnia podporucznika. - J.W.*]

Następny mój wymarsz był do Świrza, gdzie miałam zrobić rozpoznanie w okolicznych wsiach, wysondować zachowanie Ukraińców po napadzie w Hanaczowie i innych miejscowościach. W Świrzu otrzymałam kwaterę u nauczycielki. Zastępca komendanta Rejonu sierż. Jan Kisiel ostrzegł mnie, że po wsi od południa kręcą się sowieci z NKWD. W nocy przyszedł ks. Semenec [*Zdzisław - J.W.*] z wiadomością że sowieci przeszukują domy. Dostałam jako obstawę sierż. Michała Węgrzyna „Kaktusa", który jemu tylko znanymi drogami przeprowadził mnie do Bóbrki. (…) [*Napad na Hanaczów był w kwietniu 1944 r., zaś agenci NKWD mogli być w Świrzu dopiero w sierpniu tego roku. Powiązanie tych dwóch wydarzeń w jednym czasie nie jest spójne. - J.W.*]

Wybrał Józef Wyspiański

Red. Poniższa informacja znalazła się w czasopiśmie „Pielgrzym" nr 129 z 28.10.1933 r.

Znowu ksiądz katolicki przed sądem za kazanie w kościele

W ostatnich czasach prasa coraz częściej donosi o procesach, wytaczanych przeciwko księżom katolickim za kazania w kościele. Donosiliśmy już o procesie przeciw księdzu kanonikowi Bachocie w Rakszawie, o księdzu Zagrobie, stającym przed Sądem w Sierpcu, obecnie „Kurier Lwowski" z dnia 24 bm. donosi o procesie w Przemyślanach, w wojew. tarnopolskim, przeciw ks. Stanisławowi Kwiatkowskiemu. Czytamy tam: „Na tegoroczne uroczystości, związane z obchodem Konstytucji 3 Maja, zaproszony został celem wygłoszenia kazania w kościele parafialnym w Przemyślanach proboszcz ze Świrza ks. Stanisław Kwiatkowski. W czasie kazania ogólnie szanowanego duszpasterza, gdy tenże zastanawiał się nad pojęciem ojczyzny i gdy głosił, że „ojczyzna to nie sam Prezydent, to nie sama armia...", obecny na tym kazaniu por. 51 p. p. Mieczysław Orlik, przydzielony jako komendant PW (*Przysposobienia Wojskowego - J.W.*) do Przemyślan, krzyknął na cały głos: „ojczyzna to armia". Wystąpienie oficera wywołało ogólne zgorszenie i gdyby nie interwencja poważnych parafian, doszłoby do nieobliczalnych następstw".

Ks. Stanisław Kwiatkowski, proboszcz świrski, w ogródku przed plebanią, lata 30. XX w. Zdjęcie z archiwum red.

Z dalszego opisu dowiadujemy się, że gdy obywatele poważni udali się do starosty, domagając się satysfakcji dla kapłana, to p. starosta stanął w obronie oficera, a miejscowe B. B. (*zapewne BBWR, Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem - J.W.*) zażądało na piśmie od starosty pociągnięcia do odpowiedzialności ks. Kwiatkowskiego. Pismo takie o ukaranie księdza podpisane zostało przez kierownika szkoły Nowickiego i komendanta „Strzelca", p. Gielba.

Dnia 12 b.m. odbyła się rozprawa w sądzie, na której oskarżony ks. Kwiatkowski z oburzeniem odparł stawiane mu zarzuty, jako niezgodne z prawdą. Główny świadek oskarżenia, por. Orlik, nie zjawił się. Rozprawa została odroczona na dzień 4 listopada, na której będzie przesłucha-

nych 20 świadków czołowych obywateli Przemyślan. Te rozprawy kapłanów, polskich i katolickich przed sądami za kazania są i charakterystyczne i bardzo znamienne. Wywołują powszechne zdziwienie, gdyż procesy podobne znane były tylko w państwach, prowadzących otwartą wojnę z Kościołem katolickim.
Red. O incydencie w przemyślańskim kościele wspominał Stanisław Piela, przedwojenny pracownik Urzędu Skarbowego w Przemyślanach. ("Spotkania Świrzan" nr 15, str. 23).

Listy z archiwum redakcji cz. VII

Znałem prawie wszystkie dziewczyny będące łączniczkami naszego oddziału, jedna z nich mieszka nawet w pow. lubańskim w Olszynie, ale ani nazwiska ani pseudonimu już nie pamiętam. Byłem jednym z najczęściej wysyłanych patroli przez „Procha" jako zabezpieczenie przyjeżdżającego lub wysyłanego do Lwowa łącznika.

Józef Żukrowski „Ryś".

Do akowskiego podziemia zostałem zwerbowany w ostatnich miesiącach 1941 roku. W samoobronie Hanaczowa znalazłem się 25.02.1944 roku. W czasie napadu [*drugiego - J.W.*] na tę wieś byłem na przepustce zdrowotnej, bo po akcji oczekiwania na zrzut w Stokach, gdzie potwornie zmarzłem, byłem bardzo chory. W czasie pacyfikacji Hanaczowa byłem w drużynie „Puchacza" (Tadeusza Lipskiego), która jako jedyna drużyna uniknęła okrążenia i z bronią w ręku znalazła się w Biłce Szlacheckiej. (17.05.1990 roku.)

Józef Żukrowski „Ryś"

Załączam też przyrzeczony rysunek rynku świrskiego („widok z lotu ptaka" od strony parku zamkowego). Jest to rysunek amatorski (broń Boże, do publikacji!), wymagający wielu korekt, na które nie ma teraz czasu. Na podstawie własnych wspomnień i informacji I. Kartena ustaliłem stosunki własnościowe w pasie wszystkich pierzei rynku (przynależność parcel i domów). Okazuje się, że w r. 1939 niemal wszystkie domy - prócz szkoły, plebanii oraz parceli Jana Sztajca, spolonizowanego Węgra - należały do Żydów. Dorzucam też: fotokopie przepisanych przez mego Ojca dokumentów kościelnych, zdjęcie (kiepska odbitka kseroksowa) mego Ojca przy modelu zamku oraz parę - równie słabych - odbitek zdjęć z kroniki szkolnej. Być może, że uda się Panu odnaleźć wśród rodaków, osiedlonych dziś na Śląsku, „bohaterów" wycieczek szkolnych z lat

1938-1939, uwiecznionych na fotografiach. Wszystkie te materiały udało się siostrze mej żony, mieszkającej w Krakowie (wspomniałem o niej w ostatnim liście), wydobyć z pozostawionych przeze mnie szpargałów i dostarczyć mi niedawno do Szwajcarii.

Jeszcze ciekawostka historyczna, zgoła nie drugorzędna. W brulionie rozdziału IV niedokończonej monografii („W zawierusze wojen kozacko-tatarsko- tureckich, 1648-1699") znalazłem zdanie, mówiące, że w owym czasie do rzędu mieszczan świrskich zaliczali się m.in. Wyspiańscy i Żółtańscy. Byli to więc *cives*, sławetni. „Obywatelem i wójtem świrskim" był w r. 1678 Józef Radzicki. (8.03.1990 r.)

Andrzej Żaki

Z Józkiem Żukrowskim „Ryś" znam się od szóstego roku życia. Dwa okupacyjne lata przeżyliśmy we wspólnej pracy w kolumnie roboczej (naprawy linii telefonicznych) no i w działalności konspiracyjnej.

Znałem rodzinę Sienkiewiczów z Przemyślan, a Michała Sienkiewicza przeprowadzaliśmy w jednej z wypraw do Hanaczowa. Miał on przy sobie bardzo oryginalny pistolet, z długą, niklowaną lub chromowaną lufą. Pierwszy strzał próbny oddał w Hanaczowie przed szkołą, w obecności kilku chłopców i komendanta „Strzały". Wszyscy byli zdziwieni niecodzienną bronią.

Interesuje mnie sprawa uwolnienia zatrzymanych przez B. Kucharskiego. Zdaje mi się, że chodziło tylko o jednego mieszkańca Przemyślan, bo inaczej uwolnienie tylu osób byłoby znane w mieście. (15.03.1993 r.)

Mieczysław Twardochleb

Red. Zdaje się, że osoba zwolniona należała do grupy złapanych na przymusowe roboty do Rzeszy. Prawdopodobnie był to nieznany z imienia sierż. Lewicki, może kolega wybawcy albo na skutek interwencji rodziny byłego wojskowego. Zapewne B. Kucharski powiększył liczbę zwolnionych, co nie miało miejsca.

Znam dobrze zdarzenie, jakie miał Kazimierz Łomiński ze Świrza. W lutym 1943 r., a może miesiąc wcześniej, wiózł on na saniach zabitą krowę przeznaczoną do przemyślańskiego getta. Myślę, że transakcja była wcześniej przygotowana przez Żydów ze Świrza. Na sanki wsiadł ukraiński policjant i widząc ładunek pragnął dowieźć Kazika do komendy. Sanie znajdowały się przed skrętem w ul. Wybranowską i moment ten Łomiński wykorzystał. Uderzył ręką policjanta tak mocno, że ten wypadł z sań. Nim się wygrzebał z śniegu i zorientował, co się stało, Kazik zdążył odjechać i uniknął konsekwencji. Targu dobił i wrócił do domu. (25.03.1993 r.)

W pierwszej połowie lipca 1941 r. przyjechali z Przemyślan do Kimirza umundurowani Niemcy i zwołali zebranie tzw. policji ukraińskiej. Nakazali

oddać karabiny, a nahajkami i kijami tak zbili Ukraińców, że ich głosy z bólu i jęki słychać było na pół wioski. Rozgłos tego pobicia ogarnął cały powiat. Pozostaje tajemnicą, kto tych Niemców przysłał i dlaczego tak wrogo byli nastawieni.

Kilka tygodni później jechałem rowerem do Lwowa i na trasie Bóbrka-Lwów zostałem zatrzymany przez policjanta ukraińskiego, który zabrał mi rower, i doprowadził do komendanta posterunku. Szkoda mi było roweru więc opowiedziałem wydarzenie z Kimirza. Komendant kazał mi oddać rower i zezwolił na dalszą jazdę do Lwowa. (19.01.2003 r.)

Bolesław Hornung

W sprawie poszukiwania świadków przeprowadzonej akcji przez AK na pociąg relacji Lwów-Glinna Nawaria wyjaśniam, że ja w tym czasie pracowałem na stacji Glinna Nawaria jako dyżurny ruchu. Wiem, że wysadzenie pociągu miało miejsce prawdopodobnie w 1943 r., ale innych szczegółów nie pamiętam. Przesyłam adresy dwóch osób, którzy mogą Panu pomóc. (20.03.1993 r.)

Kazimierz Tarzyński

W ostatnich „Spotkaniach…" publikuje Pan opowiadanie p. T. Szula. To, co pisze Pan, to jest wielkie kłamstwo i bajka dla dzieci. Jedynie Pan w to wierzy, bo nikt inny w to nie uwierzy. Znam stosunki, jakie były na terenie więzienia we Lwowie, więc takich rzeczy, jak Pan opisuje, nigdy nie mogło być. Pan wachmistrz Kucharski był tak ważny tam, że mógł oglądać akta i miał do nich dostęp? Trudno, niech Pan dalej szuka obrońców wachmana. Ładnych bohaterów Pan sobie dobiera. (…) (5.11.1995 r.)

Rudolf Semkowicz

Red. Chodzi o wspomnienia Tadeusza Szula, znajdujące się w biuletynie „Spotkania Świrzan" nr 14, str. 15, w których opisuje zwolnienie jego (i Zygmunta Blumskiego) z lwowskiego więzienia, po aresztowaniu w Hanaczowie w czasie pacyfikacji wioski (2.05.1944 r.). Autor napisał w tej sprawie również krótki artykuł w czasopiśmie „Przekrój" (nr 1774 z 1979 r.). Do opuszczenia kazamatów przyczynił się T. Kucharski i nie można nie wierzyć T. Szulowi. Być może wachmistrz skorzystał z pomocy Z. Kalińskiego, który pracował w więziennej kancelarii przyjęć osób aresztowanych. Tak czy owak, Kucharski przyczynił się do zwolnienia z lwowskiego więzienia dwóch Polaków-akowców i nieznanego z nazwiska Żyda, który w Hanaczowie wmieszał się między Polaków i cudem później nie został rozpoznany. Uniknęli wywozu do obozu koncentracyjnego, a może i śmierci, na miesiąc przed przybyciem wojsk sowieckich. Autor powyższego listu nie przyjął wyjaśnień redakcji. Szkoda.

Wybrał Józef Wyspiański

Red. „Deklaracja....” była zbiorem 111 tomów opracowanych w Polsce i dostarczonych do Białego Domu z zamierzeniem uczczenia 150. rocznicy Deklaracji Niepodległości, ale również podziękowaniem za niesioną pomoc głodującym dzieciom po zakończeniu I wojny światowej.

Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Ciemierzyńcach, Czupernosowie i Dunajowie

Ciemierzyńce. Opiekun - Henryk Poluszyński, kierownik - Roman Bazylewicz, inspektor - Jan Koneczny.
Klasa I. Maria Pateryga, Albina Sienkiewicz, Natalia Merza, Maria Kuleba, Aniela Kuryło, Franciszka Merza, Stanisława Kuleba, Ksenia Kuryło, Maria Turkut, Maria Tistyk, Helena Kondrat, Anna Tistyk, Anna Kindryt, Stefania Kuryło, Antoni Patycki, Jan Iwachów, Sławomir Kuryło, Daniel Borszowski, Jan Rak, Józef Szonuc(?), Piotr Myczka, Bazyli Kindrat, Atanazy Kuryło, Stefan Zawalnicki, Jarosław Hećkajło, Teodor Kindrat, Paweł Rosa, Franciszek Broszko.
Klasa II. Bronisława Sienkiewicz, Katarzyna Bratkowska, Zofia Krywonis, Stefania Mróz, Leon Proć, Michał Sylwester, Franciszek Kucharski, Stefan Wołoszyn, Bazyli Grendysz, Władysław Wierzbicki, Jan Howdun, Józef Działabij, Roman Tistyk, Emil Kondrat, Antoni Szajda, Stefan Harasym.
Klasa III. Aniela Mieciak, Bronisława Solecka, Maria Hunc, Paulina Kuleba, Zofia Martyniak, Anna Lubka, Olga Kindrat, Franciszka Mróz, Stefania Kondrat, Ksenia Kuleba, Stefania Kuryło, Olga Hunc, Agnieszka Kuleba, Stanisław Kuleba, Olga Grendysz, Anna Hećkajło, Akyłyna Wierzbicka, Stanisława Kuleba, Nadzieżda Czepiżak, Michajło Wierzbicki, Stefan Sylwester, Ilko Kulyba, Teodor Kuternoga, Aleksander Pateryga, Paweł Petryk, Konstantyn Diedar, Florian Słopkiewicz, Franciszek Rosicki, Władysław Gorzelnik.
Klasa IV. Piotr Kondrat Teodor Lubka, Karol Płopkiewicz, Bronisław Strychaniecki, Wasyl Sylwester, Michał Hećkajło, Jozafat Kuryło, Bronisław Kuleba, Jan Wołoszyn, Harasym Stefan, Jan Sypko, Michał Dacko, Piotr Stangret, Olga Sypko, Anna Sypko, Tekla Kondrat, Katarzyna Stangret, Olga Kuleba, Klara Kuleba.

Czupernosów. Opiekun - ks. Zygmunt Bilski, kierownik - Józefa Bąbnowicz, inspektor - Jan Koneczny.
Albin Maria, Boczar Zofia, Franków Jadwiga, Franków Józefa, Franków Kata-

rzyna, Franków Rozalia, Franków Stanisław, Gawińska Anastazja, Gawińska Michalina, Gawiński Bazyli, Gawnińska Anna, Hałajko Bazyli, Hałajko Grzegorz, Hałajko Zofia, Hanaczowska Maria, Hanaczowska Zofia, Jarka Grzegorz, Kłosowska Olga, Kłosowski Adam, Kłosowski Prokop, Kłosowski Stanisław, Kościelna Anna, Kościelna Paulina, Kościelny Jan, Kusznier Anna, Kusznier Paulina, Kusznier Piotr, Kuźma Katarzyna, Kużma Maria, Mądrzak Kazimierz, Myrosz Katarzyna, Nowosiadły Stanisław, Połomana Maria, Połomana Olga, Prytuła Hilary, Prytuła Karolina, Prytuła Magda, Prytuła Maria, Prytuła Olga, Prytuła Semen, Prytuła Teodor, Przyszlakowski Jan, Przyszlakowski Józef, Przyszlakowski Michał, Sabada Anna, Sabada Katarzyna, Szyra Helena, Szyra Wasyl, Tarnowska Katarzyna, Zadorożna Anna, Zdrzałka Józef, Zdrzałka Ludwika, Zdrzałka Maria, Zełeniak Oleksa, Żukowicz Jan, Żukowicz Katarzyna.

Dobrzanica. Opiekun - Zofia Kętrzyńska, kierownik - Zofia Kętrzyńska, inspektor - Jan Koneczny.
Bosak Franciszek, Bosak Józef, Brześko Stanisław, Cerulewicz Stefania, Cięciwa Józef, Czajka Stanisław, Diaków Jan, Diaków Michał, Diaków Paraskewia, Duda Mikołaj, Duda Stefan, Frankowicz Janina, Gogusz Michał, Hotra Maria, Ilczyszyn Paulina, Iwanoczak Wasyl, Iwanoczek Mikołaj, Jagiełło Franciszek, Janczyszyn Katarzyna, Janemeryk Józef, Janków Katarzyna, Jaryczewski Jan, Jaworek Genowefa, Jaworek Rudolf, Jaworek Zygmunt, Kilian Julia, Kilian Paraskewia, Kochman Józefa, Królczyk Józef, Kurman Helena, Kusznir Aleksander, Kuśmirz Michał, Kuśnierz Mikołaj, Kuśnierz Mikołaj, Kwasińska Anna, Linek Tomasz, Liśniewicz Michał, Łazna Jan, Łoboda Alojzy, Maj Jan, Meszopyta Bazyli, Myketów Katarzyna, Pająk Franciszek, Pająk Jan, Pączka Emilia, Piątek Florian, Popaca Mikołaj, Popeca Piotr, Prytuła Aleksander, Prytuła Anna, Prytuła Bazyli, Rubin Antoni, Stolarz Jan, Stricker Ojasz, Stricker Salomon, Strocka Lidia, Suchaj Jan, Suchar Michał, Szymańska Maria, Szymański Michał, Szymczak Ludwik, Viątele Stanisław, Wojewoda Józefa, Wołociuk Maria, Zapłatynska Paraskewia.

Dunajów. Opiekun - Szczęsny Tramsfellner, kierownik - Stanisław Kraus, inspektor - Jan Koneczny.
Bajdała Dmytro, Bajdała Władysław, Białomazur Kazimierz, Bobało Józef, Bobato Katarzyna, Bojdała Malwina, Brzezińska Michalina, Brzeziński Eugeniusz, Cha(u)dy Stanisław, Czarna Michalina, Dymyd Hilary, Dymyd Maria, Falasz Stanisław, Fritz Edward, Gołębiowski Bazyli, Gołębiowski Grzegorz, Gottlieb Tauba, Hołysz Jan, Hoży Michał, Igiel Genowefa, Iglo Golda, Iwańczyszyn Anna, Iwańczyszyn Olga, Jedynak Franciszka, Jurgiewicz Antonina, Jurgiewicz Stefania, Jurków Władysław, Kamińska Genowefa, Kanaka Hilary, Kanaka

Wasyl, Kanner Brana, Katy Ignacy, Kłys Natalia, Koblewska Helena, Kotyk Teofila, Kozłowska Maria, Kraus Janina, Krupa Elżbieta, Kulik Stefania, Lebioda Jan, Leinwand Lisa, Lenartowicz Genowefa, Lenartowicz Julian, Lenartowicz Maria, Leszczyńska Stefania, Leszczyński Jan, Lewicka Natalia, Löw Dawid, Löw Salomon, Michaniów Mikołaj, Mikoda Hilary, Moskwiak Jarosław, Moskwiak Tekla, Musztyfaga Józef, Musztyfaga Kazimierz, Niemirowski Adolf, Nikoda Klara, Panońko Natalia, Panońko Serafina, Pantera Helena, Pantera Karol, Pantera Stanisław, Podwińska Wilhelma, Popadiuk Paweł, Prostak Kazimierz, Rak Adolf, Rak Piotr, Rowiecki Michał, Rychlik Antonina, Salz Natan, Schwan(r)y M., Semkowicz Edward, Semkowicz Piotr, Semkowicz Rudolf, Semmer Józefa, Semmer Władysław, Sienkiewicz Bolesław, Skawińska Maria, Skawiński Kazimierz, Szewczyszyn Franciszka, Szynalski Zygfryd, Tałasz Stefania, Terlecka Genowefa, Utrat Ludwik, Wityszyn Katarzyna, Wołoszyn Paraskewia, Zadorożny Franciszek, Zapłatyński Jan, Zimmer Maria, Żerucha Zofia.

Klasa II.

Białomazur Anna, Datyk Piotr, Falasz Zofia, Furdyk Michał, Gołębiowska Eugenia, Hurmański Józef, Iwańczyszyn Natalia, Jurgiewicz Helena, Juszczak Anna, Kanaczanka Natalia, Kempa Józef, Kotawicz Michalina, Kozłowski Mieczysław, Kucharski Kazimierz, Kulczycki Leo, Lebioda Leonia, Lenartowicz Józef, Mikoda Stefania, Moskwiak Michał, Moskwiak Natalia, Panońko Eugenia, Panońko Milena, Semkowicz Mieczysław, Skawińska Anna, Skawińska Maria, Stasicka Anna, Stepko Karolina, Szozda Maria, Szuberla Tadeusz, Szynalska Marta, Wincewicz Michał, Włodek Władysław.

Pokłosie naszych publikacji

W dwóch zeszytach biuletynu „Spotkania Świrzan" (nr 129 str. 11 i nr 132 str. 40) ukazały się artykuły poświęcone poszukiwaniem nazwisk polskich żołnierzy, którzy zginęli podczas rozminowywania okolic Częstochowy. Dwaj z nich pochodzili z Chlebowic Świrskich. Mój krewny w tej sprawie zwrócił się do Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie. W otrzymanym piśmie podano, że w zasobach Centralnego Archiwum Wojskowego nie znaleziono materiałów pozwalających ustalić nazwiska tych żołnierzy.

W tym piśmie sugerowano aby skontaktować się z Biurem Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Warszawie lub z Departamentem Dziedzictwa Kulturowego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ale jak wojsko nie posiada takich informacji, to cywilne instytucje tym bardziej.

Może katowicki IPN posiada jakieś nowe informacje, bo ponoć oprócz Szczepana Rury i Mikołaja Rubcowa znane są jeszcze dwa nazwiska.

Piotr Rura

Na str. 374 czasopisma „Lud" jest uwaga o „Pieśni o Napoleonie", której treść została podana w naszej gazetce („Spotkania Świrzan" nr 136, str. 26). Według uwagi autora (A.S.) tę pieśń śpiewali żołnierze podczas wojny węgierskiej w r. 1948, a dla 12. Regimentu Piechoty była ulubioną. W nim służyło wielu synów legionistów napoleońskich, także ojciec autora uwagi. Widocznie w Korzelicach, gdzie była śpiewana przez dziewczęta, był jakiś żołnierz z wojny węgierskiej.

Redakcja „Spotkań Świrzan"

Domy w Świrzu przy głównej drodze, w pobliżu skrzyżowania z drogą na Chlebowice Świrskie, 2019 r. Fot. Adam Groblewski.

Listy do redakcji

Odnośnie zdjęcia więzienia na ul. Montelupich w Krakowie może Pan powielić, ale proszę tylko oznaczyć źródło i autora zdjęcia, dziękuję. Pozdrawiam

Jan Augustynowski (investmap.pl)

<><><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie,

serdecznie dziękuję za książkę „Żołnierze...". Na pewno w aktualnie szykowanym artykule naukowym zacytuję fragment ze s. 59 (W nocy... co to było za wojsko). To wojsko, to oddział UNS (wtedy) „Siromanci" z dowódcą Dmytro Karpenko, ps. „Jastrub".

Ale mam pytanie o oddział Pawła Jastrzębskiego „Strzała". Czy jest prawdziwa kolejność dowódców: Bunio Muhlbauer vel Józef Stawiński „Pirat", wachmistrz Kazimierz Wojtowicz „Głóg" i ppor. Paweł Jastrzębski „Strzała"? Czy formalnie oddział „Pi-

rata" przestał istnieć we wrześniu 1943 roku, a formalnie nowy (chociaż złożony z ludzi „Pirata") zorganizował w Hanaczowie „Głóg"? Czy naprawdę „Pirat" został zdjęty za to, że podawał się za oficera, czy jest jakieś drugie dno? Pozdrawiam

M. Samborski

PS. Dziękuję za czasopismo.

<><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie Józefie,

Ponieważ niektórzy z Pańskich Czytelników mogą być zainteresowani, chciałbym poinformować, że metryki kościelne dla parafii rzymskokatolickiej w Tucznej (1918–1941) znajdują się w Przemyślanach, w Urzędzie Stanu Cywilnego przy ul. Hałyckiej 50. Są również zapisy z Ostałowic, Żędowic i Dobrzanic. Być może to pomoże komuś. Pozdrowienia,

o. Michal Kochis

<><><><><><><><><><><><><><><>

Witam i dziękuję za fotkę. Coraz bliżej mi do rozpoznania Janki i Adasia jako starszego rodzeństwa mego ojca, który w roku 1928 miał 30 lat. Jest podobieństwo twarzy. Ale z drugiej strony nie ma imion ojca rodziców - Marii i Józefa. Mam za mało wiedzy żeby można było coś konkretnego ustalić W każdym razie bardzo dziękuje za korespondencję w tej sprawie. Pozdrawiam,

Jan Tyszkowski

<><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie,

jestem pod wrażeniem Pana pracy, poświęconej ofiarom banderowskich zbrodni w pow. Przemyślany. Książki takie są niezwykle potrzebne. Uprzejmie proszę o przesłanie książki na mój adres.

Pozwolę sobie również zwrócić się do Pana z prośbą o spotkanie, jeśli tylko znalazłby Pan czas, we wskazanym przez Pana miejscu w Kraju. Przygotowuję obecnie książkę poświęconą obronie Hanaczowa oraz - znacznie obszerniejszą - związaną z ludobójczą akcją OUN-UPA na terenie dawnej Małopolski Wschodniej w latach 1943-1945 (być może będzie ona moją rozprawą habilitacyjną). Byłbym niezwykle wdzięczny za możliwość spotkania z Panem. Z wyrazami szacunku,

Damian Markowski

<><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowni Państwo,

Pragnę odnieść się do opublikowanego przez państwa wykazu „Osoby zamordowane przez nacjonalistów ukraińskich w pow. Przemyślany w latach 1939-1945". Być może istotnym uzupełnieniem wykazu będą zdjęcia znalezione w internecie, które załączam. Zdjęcie przedstawia obelisk stojący koło cmentarza w Ostałowicach, poświęcony pamięci pomordowanych w latach 1941-1945 mieszkańców pow. przemyślańskiego, gminy Dobrzanica, z miejscowości: Ostałowice, Rozsochy (las i wieś) i Wojciechowice.

Nazwiska umieszczone są w dwóch kolumnach, niestety zdjęcie jest miejscami nieczytelne. Czy może dysponujecie lepszej jakości zdjęciem, lub znacie kogoś, kto mógłby pomóc odczytać napisy z obelisku?

Załączam też zdjęcie tajemniczej mogiły „Synów Ukrainy" poległych w II wojnie światowej, stojącej poza cmentarnym ogrodzeniem w Ostałowicach.. Pozdrawiam serdecznie,

Andrzej Kowal

<><><><><><><><><><><><><><><>

Dzień dobry,

Dziękuję za dane o ludności Wicynia. Dla mnie liczba z gruntu jest niewiarygodna, to oficjalne „polityczne" dane przekazywane przez sołtysa.

Z drugiej strony dane bardzo pomocne do szacowania rzeczywistej ilości ludzi w Wicyniu. Dziękuje jeszcze raz.

Pozdrawiam,

Andrzej Krupa

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowni Państwo,

serdecznie dziękujemy za systematyczne przesyłanie nam kolejnych, wydanych w 2019 roku egzemplarzy wydawnictwa „Spotkania Świrzan". Otrzymaliśmy numery 1-6, z prawdziwą przyjemnością włączamy je do zbiorów Ossolineum. Będziemy niezmiernie wdzięczni za egzemplarze, które ukażą się w roku 2020. Z poważaniem

Elżbieta Hajduk

Dział Nowych Druków Ciągłych ZN im. Ossolińskich

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie,

W ostatnią niedzielę miałem możliwość zapoznać się z Pana książką „Ludobójstwo OUN-UPA" powiat Przemyślany. Poszukiwałem informacji o moich przodkach ze strony taty, który urodził się w 1942 roku w Plenikowie.

Zacząłem czytać od fragmentu opisującego Pleników i z zaciekawieniem czytałem kolejne wersy relacji opisanej przez Panią Stanisławę Palkę. W pewnym momencie jak przeczytałem fragment: „Czy tu jest Jan Kadys?" to nagle coś mną wstrząsnęło, gdyż przeczytałem swoje nazwisko, a po chwili jak przeczytałem dalsze tragiczne relacje z ostatnich chwil życia najprawdopodobniej Stryja mojego dziadka. Po przeczytaniu tego fragmenty postanowiłem, że zrobię wszystko aby dowiedzieć się o moich przodkach z Plenikowa jak najwięcej i może uda mi się odnaleźć miejsce śmierci Jana Kadysa. Zginęli tam też (a właściwie zostali bestialsko zamordowani) bracia mojej babci, Karoliny Kadys (z domu Czajkowska) urodzonej w 1910 roku.

Bardzo Pana proszę o pomoc, możliwość rozmowy, kontakt do Pani Stanisławy Palki. Ta sprawa jest dla mnie od niedzieli bardzo ważna i chcę zrobić jak najwięcej aby spróbować ją wyjaśnić. Pozdrawiam i proszę o kontakt.

Krzysztof Kadys

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Dzień dobry,

Dziękuje bardzo za przesłany zeszyt „Spotkań Świrzan". Jak zawsze przeczytałem z zainteresowaniem.

Czy Pana artykuł „Konspiracja akowska w Ciemierzyńcach" mógłbym zamieścić w „Wicyńskich Zeszytach 2020"? Informacja o oddziale „Gryfa" znajduje się w wielu wspomnieniach i relacjach mieszkańców Wicynia.

Mogę mieć nadzieję, że przedstawienie Pana opracowania zaowocuje dodatkowymi uwagami i wspomnieniami. Pozdrawiam,

Andrzej Krupa

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Drogi Panie Józefie,

Pana książka dotarła, ale po długich perturbacjach. (…) Bardzo dziękuję za pamięć i powiększenie mojego „Kresowego Archiwum" o cenną źródłową pozycję. Pełna wdzięczności i uznania, Lucyna Kulińska

Bardzo dziękujemy p. Adamowi Groblewskiemu za pozdrowienia ze Świrza i przysyłanie fotografii z naszego byłego powiatu. Na zdjęciu Nadawca na tle zamku w Świrzu, czerwiec 2019 r.

I N F O R M A C J E

Anton Drobowycz, nowy szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej powiedział o ludobójstwie na Wołyniu: „Mowa o ludobójstwie dokonanym przez Ukraińców na Polakach to nieporozumienie. Od takie uogólnionego podejścia nie ma korzyści ani dla Polaków ani dla Ukraińców. Należy ocenić poszczególne akty przemocy, jeśli uznamy, że jest tendencja sumaryczna, to można będzie je wspólnie oceniać".

++++++++++

Na początku roku 2020 miała ukazać się wznowiona książka Wiktora Poliszczuka „Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego" z obszernym wstępem prof. dra hab. Bogumiła Grotta. Wydawcą miała być Księgarnia Akademicka w Krakowie. Może Czytelników zainteresuje ta pozycja.

++++++++++

Przemyślany d. 30. lipca. W odpowiedzi na korespondencję z przemyślańskiego, zamieszczoną w nr. 179 *Gazety Narodowej*, czujemy się w obowiązku wyrazić szanownemu korespondentowi co następuje: Komitet wyborczy pracuje usilnie właśnie nad tym, aby wyborcy powiatu przemyślańskiego tak z większych jako i z mniejszych posiadłości, tak Polacy jako też Rusini, wobec nadchodzących wyborów do Rady państwa zgodniej, że tak rzekę, jednomyślnie do urny wyborczej przystąpili. Umocowani w tej mierze do działania, poruszyli wszelkie możliwe sprężyny w celu przyprowadzenia do skutku myśli, wyrażonej w powyżej podanej korespondencji, t.j. ażeby w komitecie przemyślańskim byli silnie reprezentowani Rusini.

Komitet udał się do wpływowych Rusinów w powiecie i spodziewa się zupełnie tychże pozyskać, tym bardziej że w przemyślańskim od dawna na podstawie równouprawnienia narodowości między Polakami i Rusinami, zupełna zgodność panuje, o czym niech świadczy druga korespondencja z Przemyślańskiego w *Gazecie Narodowej* nr 179 umieszczona, a omawiająca czynności Rady powiatowej przemyślańskiej. (*Gazeta Narodowa* nr 183 z 2.08.1873 r.)

Wiele pięknych życzeń świąteczno-noworocznych dla Czytelników i redakcji naszej gazetki nadesłali nasi PT Kresowianie: Ludwika Antoniszyn, Irena i Kazimierz Borejzowie, Oleg Czugujewets, Stanisław Gala (z własnoręcznie wykonaną kartką, któprzedstawiamy obok), Adam Groblewski, Bolesław Kopociński, Zbigniew Kopociński, Maria Majerczyk, Eugeniusz Matkowski, Władysława Polakiewicz, Piotr Rura, Zbigniew Twardochleb, Kazimierz Urban oraz Krystyna i Jan Wyspiańscy.

Bardzo dziękujemy za miłe słowa i życzymy spełnienia również wszystkim Czytelnikom.

++++++++++

Lwowska Rada Obwodowa wezwała (26.09.2019 r.) MSZ Ukrainy, aby potępiło list ambasadorów Polski i Izraela, protestujących przeciwko odsłonięciu pomnika dowódcy UPA, R. Szuchewycza w Iwano-Frankowsku (dawniej Stanisławów). Inicjatorami byli radni z nacjonalistycznej partii „Swoboda". Domagają się także przeprowadzenia w obu tych krajach „kampanii edukacyjnej" na temat Szuchewycza i UPA.

++++++++++

Główne dopływy Dniestru na lewym jego brzegu są rzeki Świrz, Lipa (*Gniła - dop. J.W.*), Złota Lipa, Koropiec, Strypa, Seret i Zbrucz. W stosunku do dopływów Dniestru z prawego brzegu, rzeki te bardzo

nieznacznych potrzebują robót regulacyjnych, a niektóre z nich wcale regulacji nie potrzebują.

Przyczyną tego jest, że wszystkie dopływy Dniestru po prawym jego brzegu są to rzeki górskie, o bystrym i kapryśnym biegu, ulegające łatwo wezbraniu po kilkudniowych deszczach; przeciwnie rzeki wpadające do Dniestru po lewym jego brzegu wypływają po większej części z moczarów w powiatach przemyślańskim, złoczowskim i brodzkim, a płynąc przez równiny i niezasilone żadnymi górskimi potokami mają bieg równiejszy i spokojniejszy. Pomimo tego niektóre wydziały powiatowe zdają sprawę o robotach regulacyjnych albo już wykonanych, albo do wykonania wskazanych i dla ogólnego dobrobytu wielce pożądanych. I tak z powiatu przemyślańskiego donoszą, że od lat wielu uznawaną bywa potrzeba regulacji biegu Gniłej Lipy na przestrzeni 20 km, zaś Złotej Lipy na przestrzeni 21 km. Rzeki te bowiem przy ulewnych deszczach występują ze swych płytkich łożysk, narażając tym sposobem nadbrzeżnych właścicieli na znaczne straty, zwłaszcza podczas sianokosów, a w każdym razie zabagniając przyległe grunta. Wobec władz nie była dotąd poruszoną sprawa regulacji koryta tych rzek; była jednakowoż przed laty kilku przedmiotem dyskusji w kołach interesowanych. …

Do znaczniejszych robót melioracyjnych w powiecie przemyślańskim dokonanych zaliczyć wypada osuszenie stawiska 200 morgów rozległego w Połtwi, u p. Jana Torosiewicza. Wykopano przez sam środek stawiska kanał główny, oraz odpowiednią ilość rowów bocznych, nadając im należyte spady do odprowadzania wody; robotę tę wykonano w roku 1877, a koszta wynoszą ogółem 1900 zł. O rezultatach nic jeszcze stanowczo powiedzieć nie można, albo-

Złota Lipa przepływająca przez Ciemierzyńce. Na wzgórzu kościół rzymskokatolicki pw. Stanisława Kostki, budowany w latach 1924-1932).

wiem stawisko nie jest jeszcze do porządku przyprowadzone i dopiero za lat parę będzie można się spodziewać zbioru dobrego siana; obecnie zaś daje dochód zaledwie od 3 do 4 zł z morga.

Także w Laszkach Królewskich, innej miejscowości tegoż powiatu, właściciel p. Hilary Treter osuszył 65 morgów stawiska, które zamienione zostało na łąkę. Staw ten osuszonym został w r.1865 wskutek ugody zawartej z zarządem dóbr podlwowskich J. E. hr. Alfreda Potockiego; albowiem póki był staw w Laszkach, póty stawisko kurowickie w tych dobrach położone zatapiane bywało. Rowy osuszające kopano według spadu na oko; koszta wynosiły zaledwie 120 zł, a skutek był i jest pomyślnym o tyle, że jeżeli woda nie zaleje stawiska przy zbyt obfitych deszczach, to zbiór siana bywa wcale zadawalający. (Piłat Tadeusz, *Galicja - gospodarka - statystyka*. Lwów 1880, str. 155 i 180, www. pbc.rzeszow.pl)

++++++++++

Międzynarodowy zespół naukowców odtworzył genom pałeczki dżumy, która siała spustoszenie, powodując pandemię w XIV-wiecznej Europie. Dzięki temu okazało się, że epidemia wybuchła w Łaiszewie, w republice Tartastanu. Do badań wykorzystano zęby od 34 osób, które zmarły w wyniku choroby i pochodziły z 10 różnych krajów. Powstało swoiste drzewo genealogiczne choroby, które doprowadziło naukowców do źródła zarazy. Eksperci podkreślają, że będą prowadzili dalsze badania potwierdzające ich tezę.

++++++++++

Ukraińskie media w Polsce i na Ukrainie z wyraźnym rozczarowaniem i zaniepokojeniem przyjęły wyniki wyborów do Sejmu i Senatu. Jak zauważono, do polskiego parlamentu nie dostał się nikt z kandydatów deklarujących ukraińską narodowość, natomiast dostali się „przyjaciele Putina", jak określono polskich polityków krytycznych wobec Ukrainy.

++++++++++

Na drugim zgromadzeniu c.k. galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego do Towarzystwa został wybrany przez aklamację Skrzyński Ludwik ze Świrza. (*Tygodnik Rolniczy i Przemysłowy* z r. 1846)

++++++++++

++++++++++

* *

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 144. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, IV 2020 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012